

PRZEGLĄD POWSZECHNY

»BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BOG JEGO« *Ps. 143*

ROK LXIV

Tom 224

GRUDZIEŃ

1947

WARSZAWA
WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU

UWAGA: Tom poprzedni tj. 223 zawiera tylko zeszyt z lipca i sierpnia 1939 r. i urywa się na stronie 208. Numer bowiem wrześniowy wskutek działań wojennych już się ukazać nie mógł. Obecny zaś numer, z grudnia 1947 r., jest pierwszym, wychodzącym po przerwie wojennej.

Zdaje nam się, że „Przegląd Powszechny” nie musi się publiczności polskiej przedstawiać. Nie zjawia się bowiem dopiero dziś jak niemowlę, o którym jeszcze wczoraj nic nie wiadano. Przeciwnie, należy on do najstarszych w Polsce czasopism w ogóle, a w swoim rodzaju dzierży nawet prym starszeństwa. Patrzył już na narodziny pism obecnie istniejących i na liczne innych skony. Budzi się dziś sam i przychodzi do głosu po okresie milczenia, spowodowanego przez drugą światową wojnę. Jego wczorajsi pionierzy wyginęli prawie wszyscy na swych posterunkach lub w koncentracyjnych obozach. Na ich miejsce przychodzą inni, młodszy. Zmienia się obsada, ale dzieło trwa, wciąż to samo, zawsze o wyraźnie zakreślonym obliczu, którego rysów i my przed nikim tać ani zamazywać nie myślimy.

Do kogo się on zwraca? Naturalnie, że taki organ jak „Przegląd” siłą rzeczy musiał swój bezpośredni zasięg ograniczać do warstw o odpowiednim poziomie umysłowym, więc do ludzi o wyższym lub średnim przynajmniej wykształceniu. Dziś jawi się jednak nowa kategoria osób, które skromniejsze może nawet wykształcenie, wyniesione ze szkół, umiały dziwnie rozszerzyć i pogłębić, czy to przez późniejsze kontakty z książką czy to przez żywy i świadomy udział w powszechnym doświadczeniu. Jasnym jest bowiem, że w tyglu cierpienia, przy bystrej obserwacji i refleksji nad sobą, umysł człowieka o wrodzonej inteligencji — mniejsza o to czy będzie to robotnik, rzemieślnik, chłop czy kupiec — tak szybko życiowo dojrzewa i uczy się sztuki samodzielnego myślenia, iż smutnym byłoby anachronizmem ograniczać zastępy naszej inteligencji tylko do cenzusu czysto formalnego wykształcenia. I my tego czynić nie chcemy.

Z czym przychodzi? Pismo nasze poświęcić się pragnie, w miarę swych skromnych sił, dziełu kulturalnej odbudowy kraju a zwłaszcza dziełu krzewienia w polskiej duszy rodzimych obyczajów i tych charyzmatów, o których mowa jest poniżej¹⁾. A czynić to pragnie w duchu miłości i prawdy.

¹⁰ MIŁOŚCI. Wszystkich bez wyjątku ludzi, nawet naszych ideowych przeciwników, traktować chcemy jak bliźnich, jak braci. Bogu niepotrzebna jest nasza nienawiść, podobnie jak na nic mu się nie przydadze ludzkie kłamstwo. Może ktoś, w myśl naszych pojęć, mylić się i błądzić, ale to zawsze brat, może nawet — jakby się wyraził św. Franciszek z Asyżu — brat-afesz, który nie traci również prawa do naszego szacunku czy sympatii. Nie nęca nas zresztą bynajmniej mało płodne zazwyczaj polemiki. Przeciwnie, lubo przyjdzie nam zabierać głos w atmosferze pewnej gorączki i dotykać zagadnień, jakie budzić zwykły tendencje i namiętności, zachować

¹⁾ Por. artykuł pt.: „Charyzmaty duszy polskiej a zadania prasy”.

chcemy umiar i spokój pozytywnego wykładu oraz ton miłości, od której zachowania nic nas chrześcijan na ziemi zwolnić nie zdoła.

2^o PRAWDY. Nade wszystko służyć pragniemy bez żadnych zastrzeżeń prawdzie, która wytyczy nam całą postawę myślową. Program nasz w tej mowie streszcza najtrafniej łacińska zasada:

Non illudi, non flere, neque mirari, nec indignari, sed intelligere. Objaśniamy.

Non illudi — nie brać za rzeczywistość własnych życzeń, nie ulegać bezpłodnym marzeniom, nie dać się naiwnie mamieć mirażami czy zwodzić pięknym słowem po prostu nie gubić się w świecie rojeń, snów, przeczuć i fantazji, ani w sferze szaleństw czy sensacji.

Non flere — nie dać się łamać klęskom lub opętać zmore zniechęcenia na widok zniszczenia i ruin, nie puszczać wodzy bezowocnej krytyce i gnuśnym bładaniom, nie męczyć się wspomnieniami krzywd rzeczywistych a tym mniej jeszcze urojonych, nie stawać się ofiarą bezsilnej rozpacz czy bezpłodnego żalu za tym, co być mogło czy było a nie jest.

Neque mirari — nie dziwić się wszystkiemu i nie tracić myślowej równowagi na skutek tego, co się widzi i słyszy, nie tracić głowy i nie popadać w zakłopotanie wobec grozy niespodzianek, nie załamywać rąk na widok przerażającego tempa wypadków ani się przed nimi lekliwie nie cofać, nie pozwolić się nigdy oszołomić, olśnić czy zahukać.

Nec indignari — byle czym się nie przejmować ani łatwo zżymać czy gorszyć, nie dąsać się na coś czy kogoś i nie wpadać w leki rozdrażnienia albo kompleksu niższości, nie schodzić na nicowanie czy tanie moralizatorstwo, nie węszyć rzeczy najgorszych ani nie czekać już tylko na kary Boże i bliski koniec świata, nie nakłaniać chętnie ucha na krakanie różnych kassandr czy innych złowieszczów.

Sed intelligere — zanim się działać pocznie — wiedzieć dobrze czego się chce i do czego się zmierza, zachować równowagę ducha, problemom nasuwającym się iść śmiało naprzeciw, mniejsza o to, że będą one może nudne czy trudne, rozgryzać je, rzeczywistości patrzeć odważnie w oczy i widzieć jej kontury i rysy jasno bez względu na to czy przykre są czy też przyjemne, tak samo w przyszłość patrzeć może z powagą i troską, ale bez lęku i zamieszania. Jednym słowem, patrzeć trzeba i widzieć rzeczy krystalicznie jasno, sądzić trzeźwo, chciałoby się rzec, brutalnie, myśleć rzetelnie, reflektować rozumnie i zawsze właściwie, bez żadnego względu i litości, wyciągać wnioski.

Tak pojmujemy postawę pisarza i pisma wobec majestatu prawdy, świadomi zarówno jej świętych wolności jak i suwerennych „non possumus“.

Charyzmaty polskiej duszy a zadania prasy

Przeżyliśmy epokę gigantycznych zmagania i niebywałych doświadczeń. Twardy los dziejowy nie oszczędził nam prawie niczego: żadnej klęski, żadnego zawodu. Olbrzymie, wprost nieobliczalne straty ponieśliśmy na wszystkich polach. Widać je już bardzo wyraźnie w dziedzinie materialnej. W gruzach leżą nam mosty i środki lokomocji, domy, szkoły i fabryki, świątynie, przybytki nauki, sztuki i kultury. W ślad zaś za ruinami poszło ogólne i niesłychane zubożenie ludności, której część straciła, rzecz można, literalnie wszystko.

Kraj nasz poniósł największe stosunkowo straty biologiczne. Polska krew lała się na wszystkich frontach świata. Miliony, miliony istnień pokryły liczne, bezimienne, przeważnie mogiły. Próby terroru, więzienia i obozy kaźni zostawiły w spadku innym milionom zabliźnione już dziś rany, nieuleczalne kalectwa, gruźlicą i innymi chorobami podkopane zdrowie, stargane nerwy. A naturalnym ich następstwem są widoczne dziś objawy: psychiczne zmęczenie i powszechna apatia.

Dalej, okres ten wniósł w umysły straszliwy zamęt pojęć. O nasze bowiem mózgi uderzały co pewien czas jakieś niezwykle, prawie że fantastyczne wieści i druzgocące fakty, które, jak się trafnie w tym wypadku wyrażają, w głowie się nie mieszczą. Przez lata okupacji karmiono je rozmyślnie fałszem, bałamucono stugłową plotką. Nie dziw tedy, że poczęły się one powoli rozprzegać, paczyć i rozstrajać, jak rozstraja się maszyna, w której tryby wraża ktoś żuźle, belki i kamienie. Wylęgać się w nich zaczęły jakieś niesamowite zakroty myślowe i dziwolągi, a czasami rozpętywał się piekielny wprost bałagan. Umysł zaś, który odzwyczaja się od zdrowego chleba prawdy, świerzbieć muszą złudne przepowiednie

i blaga, nęcić sensacje i plotka. Traci on granicę między tym co rzeczywiste a co urojone. Nie odróżnia możliwości od prawdopodobieństwa. Zamiast więc myśleć, roi.

Co więcej, wraży system, który wysilał się, żeby za wszelką cenę zdeptać w jednostce poczucie godności ludzkiej, moralnie ją złamać i upodlić, stworzył wszelkie warunki nieludzkie po to, aby plenić się mogły w narodzie: lenistwo i swary, pijaństwo i rozpusta, mordy i kradzieże, oszczerstwa i zakłamanie. By zgubić w zalewie upodlenia naród, zerwano przed nim, rzecz można, wszelkie moralne tamy. Straszliwe skutki szatańskiego dzieła widzimy i dziś jeszcze, lubo ten system zbrodni się załamał a warunki stają się uczciwsze, bardziej ludzkie. A choć spływają wciąż fale hańby, wielu nie odnalazło dotąd dróg uczciwości.

Gorzka to niewątpliwie jak piołun prawda, nie sądzimy jednak, aby trzeba ją było taić czy wybielać. Raczej przeciwnie, miejmy odwagę wypowiedzieć ją szczerze, choć przyjdzie przy tym i ukrytą w niej gorycz wypić do dna.

A jednak.

W całym tym smutnym i pełnym klęsk, grozy, strat i cieni obrazie istnieje coś co jak z jasnego nieba piorun prześwieśla go i rozjaśnia od góry do dołu. W powszechnym rozkładzie zostało zdrowe i nietknięte ziarno, co odradzało się w klęskach, krzepło pod ciosami, hartowało się w ogniu doświadczeń i rosło, potężniało do nieziemskich wprost rozmiarów: duchowa jedność narodu. Po tragicznym bowiem wrześnie — mimo mniej lub więcej złudnych rachub — uświadomiliśmy sobie rychło wszyscy i każdy z osobna, że opuścili nas sprzymierzeńcy, że zawiódł nas własny rząd i dowództwo, że nie możemy liczyć na żadne przyjaźnie czy emigracje, że nie chroni nas, nie ubezpiecza i nie strzeże żadna na ziemi siła. Zostaliśmy w kraju bezbronni i sami, zdani na eksterminację i przemoc śmiertelnego wroga! Jasnym się nam stało, bez wielu słów i roztrząsań, na które nie było czasu, że jeden jest tylko ratunek: cały naród musi się zewrzeć, wzajem umacniać, chronić i ubezpieczać. I tak się działo. Cały kraj obiegała jakaś potężna iskra, co stapiała w jedno ognisko nasze myśli i uczucia a nasze pragnienie i czyny w jeden magnes, któremu na imię: Polska. I nie była

to już tylko Polska szlachty czy możnowładców, ani nawet Polska inteligencji tylko czy duchowieństwa. Po raz pierwszy w dziejach ukazała się pełna Rzeczpospolita. Polska także chłopą, kupca i robotnika, Polska wszystkich synów kraju, bez różnicy warstw, zawodów, wieku czy stanu.

I cudowna ta jedność nie jest bynajmniej dziełem przypadku, objawem chwilowej potrzeby czy doraźnej samoobrony. Nic podobnego. Poczuliśmy się jednym, bośmy odnaleźli jednakie głębiny swoich dusz. Jednakie i wspólne okazały się nasze życiowe pojęcia i poglądy, nasze myślowe reakcje, opinie, sądy moralne i oceny, ten sam sposób patrzenia na życie i przeznaczenie. A nie są to wcale jakieś platoniczne sądy, modne opinie, zabawki pięknoduchów czy nieszkodliwe teorie snute przy zielonych stolikach. Żadną miarą. Z tym światem pojęć, ocen moralnych i sądów zgodny jest w zasadzie nasz świat czynów, reakcyj życiowych i metod praktycznego postępowania. Słowem, wspólne i prawe są nasze zwyczaje i trwałe, świadomie i dobrowolnie przyjęte postawy woli czyli obyczaje.

Nie chcemy, by nas źle zrozumiano. I Polak, jak inni ludzie, może być próżniakiem, ale lenistwo w polskiej opinii publicznej nie zdobywa sobie prawa obywatelstwa, nie uchodzi za rzecz mądrą czy złą, nie jest, jak się to dzieje gdzie indziej, równane z pracowitością. I Polak dopuszcza się kłamstwa, ale tym nie mniej uważa je za zło, nazywa po imieniu i z prawdą nigdy nie równa. I Polak popełnia niestety kradzieże, ale nawet wtedy nie traci jeszcze poczucia własności. Może komuś wyrządzić krzywdę, ale świadom jest sprawiedliwości i czuje się za nią odpowiedzialny. Wie, że prawa człowieka są rzeczą świętą, którą uszanować winien każdy, tak druh jak wróg. I on dopuszcza się rozpusty, ale jej nie wybiela ani uważa za bohaterstwo czy cnotę. Nie szuka za nią uznania. Owszem, wcześniej czy później uznaje jej zło, wstydi się, żałuje i bijąc w piersi wraca do uczciwego obyczaju, który w gruncie rzeczy wysoko ceni i szanuje. To samo jest w życiu społecznym. Mógł się, powiedzmy, i w Polsce znaleźć taki potwór jak Hitler. Być może. Ale trudno sobie wyobrazić jedno: aby został uznany za wodza, aby się nim szczycono i aby nasz naród stał się w jego rękę

biernym narzędziem czy potulnym stadem idącym ślepo od zbrodni do zbrodni. Polska opinia w lot by go napiętnowała, jego kredyt rozniosłaby na nice, a może i rychło zdetronizowała. I miałby co krok do czynienia, jeśli nie z krwawymi zamachami, to na pewno ze zdecydowanym oporem całego narodu. Nicość moralna u nas nie znajdzie kredytu. Polacy są raczej skłonni do krzyżowania swych proroków, niż do pobbłaszania im czy patrzenia przez palce na ich etyczne braki.

Tak, Polska mało przypomina miękką glinę, którą pierwszy lepszy Hitler mógłby urabiać, jak mu się żywnie podoba. Może to się udać w tym czy innym kraju, u nas najmniej — nawet pod terrorem, pod którym Polak mało się ugina i łamie. Nie nadaje się radykalnie na niewolnika, robota czy kółko w maszynie. Nie zna kompromisu za wszelką cenę. I jemu jest życie miłe, ale nie uważa go za dobro najwyższe. Kiedy chodzi o wolność czy moralne zasady, przed ofiarą się nie cofa, gotów jest na wszelkie ryzyka, i narazić może wszystko: spokój, majątek i sławę, nawet życie. Świadom jest bowiem czegoś co nie ginie lecz trwa wiecznie. Dlatego w ubóstwie może zachować pogodę, nawet w łachmanach pozostaje sobą, patrząc w oczy niebezpieczeństwu nie traci ducha ani wśród ruin humoru, na widok osobistej klęski nie myśli o samobójstwie. Kto zna bliżej inne kraje, wie co znaczą te słowa. Polak staje się dlatego sfinksem, którego inne narody rozgryźć nie mogą. Rady sobie dać np. nie mogą z żołnierzem spod Monte Cassino czy z warszawskim powstańcem. Nie wiedzą za co go uznać: za bezinteresownego bohatera i rycerza wolności czy też za nieuleczalnego fanata, pomyłonego romantyka i półwariata.

Znamy nieco i inne narody, świeżo przebywaliśmy wśród nich na Zachodzie. I przyznajemy chętnie, że ten przewyższa nas sztuką, inny wiedzą czy techniką, ten pracą i bogactwem, ów zdrowiem fizycznym, jeszcze inny trzeźwością i rozważą. Ale gdy się ma na uwadze rzecz najbardziej wartościową — owe charyzmaty ducha — to lubo ani na jotę nie chcemy poniżyć żadnego z obcych narodów, wyznać musimy, że mało znamy takich, które by mogły iść z Polską w zawody i absolutnie żadnego, który by mógł ją w tej mierze prześcignąć. Przecież wiele z nich cofało się lub schodziło

wyraźnie w dół pod naporem przemocy, pod którą my ~~dźwi-
galiśmy się do wyzysku~~ wzbudzają ogólny podziw świata. Owszem, łamie je moralnie samo wspomnienie doświadczeń, z których my przeżywając je wychodzimy nieźle, ba zwycięsko. Więc nie bez przyczyny nazwano Polskę sumieniem narodów. A Talleyrand widział dobrze gdzie leży nasza potęga, kiedy twierdził, że polskie tradycje narodowe i obyczajowe są tak silne, że i po 100 latach Polska się odrodzi.

Co więcej, jeśli się przyrówna nasz polski obyczaj raczej do granitu, niż do miękkiej gliny, to okazuje się jasno, że kształt, według którego granit ten krystalizował, jest na wskroś chrześcijański. Z Ewangelii czerpali nasi ojcowie wszystkie zasady i wzorce, w których przez wieki i pokolenia odbywał się ten długi proces jego dojrzewania i krystalizacji. Wyszedł z niej swoisty typ ludzki, zwany człowiekiem zachodnim; typ, jaki dziś nosimy w duszy. I nie jest on w niej jakąś tylko naleciałością, domieszką czy pożyczką. Wrosł nam głęboko w umysły, serca i psychikę. Stał się naszym ja.

Przyzwyczajono się w Polsce narzekać na płytkość naszego religijnego wyrobienia. Dziś zdajemy sobie jasno sprawę, jak wielkie jest to nieporozumienie. Naturalnie wyrobienie dogmatyczne zostawia u nas wiele do życzenia, ale tkwi nam głęboko w duszach ów moralny obyczaj, może nie dość studiowany i refleksyjnie uświadomiony, tym nie mniej świadomy i dobrowolny, skoro jest obecny i działa. A znaczy to coś bez porównania więcej niż samo moralne wykształcenie. Obyczaj ten, który zataił się niejako w otchłani podświadomości i przeszedł w rodzaj moralnego instynktu, wkracza dziś potężnie w progi świadomości swych właścicieli, których sam wewnętrznie ukształtował. Odkrywamy go tam codziennie z poczuciem szczególnej miłości i dumy. Miłości, bo widzimy w nim coś swego, własnego i rodzimego, owszem samych siebie. Dumy, gdyż oceniamy, jak bardzo przewyższa on wszelkie inne typy ludzkie, jakie się z nim dziś zestawia i równać pragnie. Ci więc którzy to czynią winni się wpierw dobrze zastanowić czy takie przedsięwzięcie jest w ogóle warte zachodu i czy nie byłoby lepiej z góry zeń zrezygnować. Bo inaczej skutki mogą się okazać

wręcz przeciwne zamierzeniom. A na to nie ma rady. Trudno i darmo.

Spytać ktoś wreszcie może, skąd się wzięły te obyczaje i charyzmaty polskiej duszy? Śmieszną byłoby rzeczą upatrywać ich źródło w jakiejś agitacji kleru czy w ogóle w działalności ludzi obecnego pokolenia. Byłaby to akcja o całe stulecie spóźniona. Bez wątpienia w każdej generacji kapłan, matka, wychowawca mieli największy udział w szczepieniu tych wartości w młodych duszach. Ale dzieło to musiało się rozłożyć na długi szereg pokoleń, z których każde coś od siebie do skarbcza dorzucało i przekazywało w całości następnym. Charyzmaty te przekazywano sobie w łonie chrześcijańskich rodzin, bezpośrednio z serca do serca, z duszy do duszy a dzieci polskie ssąły je, rzecz można, z piersi swoich matek wraz z materialnym mlekiem. Oto nie kończący się łańcuch duchowego dziedzictwa.

Dobrze — spyta może ktoś jeszcze — a kto to sprawił, że wspomniane charyzmaty właśnie w naszym pokoleniu doszły do tak cudownego rozkwitu, iż wszyscy Polacy poczuli się tak głęboko jednym żywym narodem, jak nigdy jeszcze w historii? I tę rzecz, po ludzku mówiąc, trzeba by rozłożyć na szereg pokoleń i to przy szczególnie pomyślnych warunkach. Ale czego nie mógł sprawić człowiek, tego w sposób iście cudowny dokonał sam Bóg w ciągu niewielu ostatnich lat. Przeorał nam do głębi dusze strasliwym pługiem doświadczenia, bólu, klęsk i ofiar, rozrywając je aż do gruntu najszerszego, bezcennego kruszcu. W tyglu ogniowych prób rozpalony ten kruszec zalał nam nie tylko osobiście dusze do dna, niekiedy po brzegi, ale stopił je wszystkie w jeden żywy, nierozzerwalny i potężny blok, zwany polskim narodem. Na ten wspaniały cud Bożej mocy — w głębi nas się społem dokonywujący — myśmy patrzyli sami zdumieni, a kto go głębiej pojął, pytał olśniony: I czy nie jest on niedościgłą nagrodą, zdobytą za cenę owej niepomiernej gehenny naszych ofiar, klęsk i doświadczeń?

Oto krótki szkic rzeczywistości, jaką wyniósł naród polski ze świeżo minionego okresu swych dziejów. A jak sobie wyobrażamy, w związku z nią, zadania prasy polskiej w obecnej dobie?

Przede wszystkim przyczyniać się ona ma i współdziałać w dziele materialnej odbudowy kraju, w dziele dźwignia z gruzów poszczególnych placówek gospodarczego życia oraz leczenia głębokich ran zadanych krajowi przez huragan strasznej wojny. A w dziele tym, które jest nasze i wspólne, nie możemy się zbyt oglądać poza siebie czy za granicę. Dźwigniemy się gospodarczo o tyle, ile zdziała nasza rzetelna i wytrwała a solidarna praca. Na tym więc polu spotkać się winny i zgodnie ze sobą współdziałać inicjatywa prywatna, społeczna i państwowa.

To samo powtórzyć należy, gdy chodzi o odbudowę zdrowia fizycznego i psychicznego szerokich mas naszego ludu, a zwłaszcza dzieci i młodzieży. W sposób świadomy i racjonalnie zorganizowany leczyć musimy te rozliczne przez wojnę zostawione braki i rany, owszem przez odpowiednie środki i zdrową eugenikę zapobiegać złu, jakie dziś zdrowiu fizycznemu czy psychicznemu społeczeństwa zagraża. Nieodzownym zaś warunkiem tego jest należyty rozwój szpitali, lecznic, poradni zdrowia, kolonij letnich i wypoczynkowych oraz higieny i zdrowotność mieszkań, szkół i zakładów pracy.

Rzeczą jeszcze większej doniosłości jest sprawa leczenia skrzywień umysłowych i ratowania za wszelką cenę świata oczywistości i prawdy. Nie można żadną miarą pozwolić na to, aby niezdrowa sensacja, plotka i różnorakie bałamuctwa myślowe zagnieździły się na dobre w polskich umysłach i zdobywały tam niejako prawo obywatelstwa. Nasza opinia publiczna nie tylko nie powinna się oswoić ani nawet choćby biernie tylko pogodzić z panowaniem się fałszu jako stanem normalnym. I nie można dopuścić, aby zatarła się w mózgach granica między światem rojeń, plotek i mitów a światem rzeczywistości, jakkolwiek ona będzie, ani między tym co pewne, co prawdopodobne a co możliwe. Rzeczą zdrowej publicystyki jest troska o to, aby w pogoni za nadzwyczajnością i sensacją przestały się już paczyć umysły mas, aby się przyzwyczajały na nowo do pożywnego chleba prawdy i uczyły się w nim smakować. Owszem, takiego właśnie pokarmu winna im dostarczyć, czyniąc go jak najbardziej pojętnym i smacznym. Stać się winna kuźnią szczerzej prawdy i szkołą rzetelnego myślenia. I w tym wi-

dzimy zadanie specyficzne prasy, bez względu na to do jakiego ona zalicza się obozu.

I jeszcze krok dalej: Stajemy wszyscy do dzieła dźwigania na wyższy poziom etyczny naszego życia społecznego, owszem do umacniania i rozbudowy samych jego moralnych podstaw. Więc czemu mamy przeciwdziałać? — Aby się nie zacierala w polskiej opinii publicznej wyraźna i jasna różnica między dobrem a złem, aby występki nie znajdował w niej pobłażania i nie był nigdy równany z cnotą. Owszem, aby nikt nie ważył się głosić u nas prawa do próżniactwa czy kłamstwa, do pijaństwa czy rozpusty, do kradzieży czy wyzysku, jednym słowem prawa do moralnego rozstroju. A w czym współdziałać? W uznaniu dobra za dobro, zła za zło, draństwa za draństwo i w nazywaniu każdego czynu po imieniu, jak na to zasługuje.

Owszem, rzeczą wszystkich nas żyjących winno być wytrwałe umacnianie rodzimie polskiego obyczaju i szczepienie w duszach polskich tych charyzmatów, któreśmy jako bezcenne skarby odziedziczyli po przodkach i uchronili za cenę ofiar i krwi najlepszych z naszych rodaków. Skarby te, na których spoczywa bezpiecznie gmach Rzeczypospolitej i wznosi się nasza narodowa przyszłość, musimy przekazać nieuszczerplone następnym pokoleniom. W pracy nad tym opatrnościowym dziełem widzieć pragnęlibyśmy wszystkich bez różnicy Polaków. Nie może ono być niczym monopol. Pola wystarczy dla każdego z ludzi dobrej woli.

Sprawą wreszcie prasy katolickiej staje się coraz to pełniejsze wydobywanie na jaw i światło dzienne właściwego sensu rodzimych obyczajów i tak bogatych charyzmatów ducha. Niech lśni na oczach wszystkich ten świeżo w żarze niezwykłych doświadczeń rozpalony kruszec. Niech go widzą wszyscy w kraju i poza jego rubieżami. Niech go poznają i oceniają. I niech się dowiedzą ci, co jeszcze nie wiedzą, że w tym kruszcu żywych dusz polskich odcisnęły się najwierniej czyste i pełne zasady Ewangelii. Uczmy się czytać te wzniosłe zasady nie tylko ze słów, z książek czy pism, lecz w otwartej nam dziś księdze żywej duszy narodu. Studiować mamy z miłością tę wspaniałą rzeczywistość, która poczęta w piersi polskiej przed wiekami wkracza nam dziś własną mocą

w progi świadomości i przykuwa do siebie nasze zdumieniem na wskroś otwarte źrenice. Doczytajmy w niej do końca tę niezrównaną lekcję, jaką dała nam Opatrzność w godzinach naszego największego doświadczenia. Odkryjemy wtedy pewnie szlaki przeznaczeń, które nam Bóg w nieodgadnionych jeszcze planach nakreśla i poznamy bliżej rolę, jaką nam w odradzającej się z ruin ludzkości wytycza.

I nie wolno nam uronić niczego z tej wspaniałej i niezmierną mocą brzemiennej lekcji, jaką daje Boża Opatrzność, bodaj jedyny raz w naszych dziejach.

Ks. Stanisław Wawryn T. J.

Pamięci trzech b. redaktorów „Przeglądu”.

Gwałtowna burza wojenna, jak wstrząsnęła niemal do podstaw całym bytem obu prowincyj polskich naszego zakonu, tak zadała niepowetowane ciosy naszemu piśmiennictwu i wydawniczemu dziełu. Oprócz zniszczonych doszczętnie urządzeń technicznych, drukarni, introligatorni, bibliotek i składów, musieliśmy opłakiwać stratę całego szeregu pracowników, bądź to już wysłużonych, ale jeszcze mniej lub więcej czynnych, bądź też cieszących się do ostatka pełnią sił i rokujących najlepsze na przyszłość nadzieje.

Wśród tych pracowników, odwołał Bóg, ufamy, że po nagrodę, trzech ludzi, którym, jako głównym w różnych czasach redaktorom *Przeglądu Powszechnego*, pragniemy w tym pierwszym powojennym zeszycie poświęcić kilka prostych słów wdzięcznej pamięci.

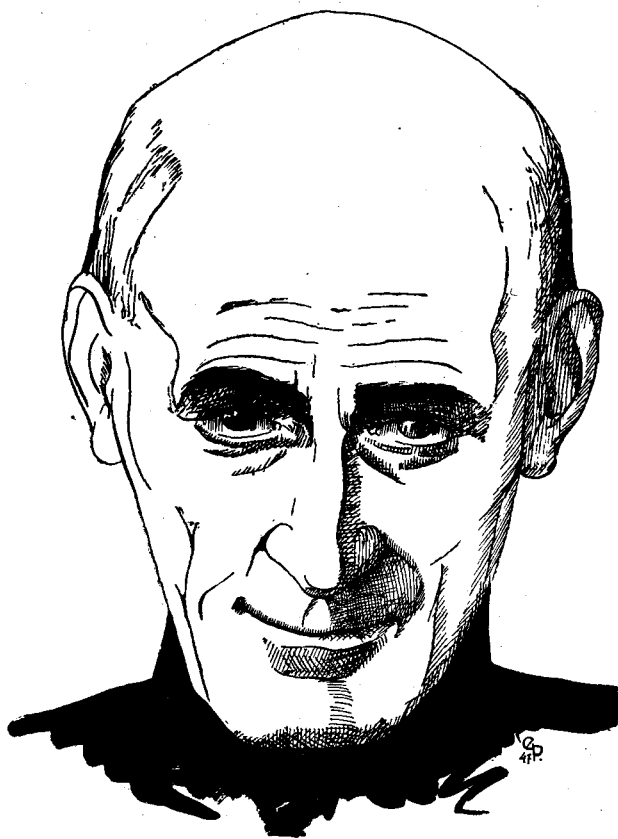
Pierwszy odszedł Ojciec JAN URBAN.

Urodzony w r. 1874 w Broku nad Bugiem, wstąpił do duchownego stanu i odbył teologiczne studia w Seminarium plockim, po czym, przyjęty już jako kapłan do naszego zakonu, uzupełnił filozoficzne i teologiczne wykształcenie na zakonnych fakultetach w Sączu i w Krakowie. Osobiste od dzieciństwa zetknięcie z prawosławiem, lecz przede wszystkim gorące umiłowanie Kościoła i prawdy Chrystusowej skierowały jego zainteresowania ku problemom religijnym Bliskiego Wschodu.

Prócz rozległego, w tych kwestiach odczytania i wielkiego wysiłku, z jakim dla pracy misyjnej w Rosji zebrał pokaźną i bardzo cenną bibliotekę — która zachowała się niemal w całości — podjął z wielką odwagą i przedsiębiorczością, naj-

pierw osobiste wycieczki do prześladowanych unitów podlaskich, potem wyprawę do Petersburga, gdzie kilka lat przepędził z niemałym pożytkiem dusz i dużą dla przyszłej pracy naukowej korzyścią.

Za powrotem do kraju, przydzielony do *Przeglądu Powszechnego*, od razu zwrócił na siebie uwagę wybitnymi przymiotami myśli i pióra. Bo był to umysł, nie tyle intuicyjny, ile wnikający niezmiernie głęboko i bystro w dane problemy, czy spekulatywne czy praktyczne. Miało się nieraz wrażenie, że każdą kwestię rozcina jakby nożem, nie zostawiając w niej żadnych ani niejasności ani niedomówień. Toteż, gdy od roku 1919 znalazł się na czele redakcji *Przeglądu*, czy w swoich ulubionych „Sprawach Kościoła” czy w osobnych artykułach z różnych dziedzin, cały szereg zagadnień jasno oświecił, nie lękając się i polemiki, gdzie widział interes prawdy. Że zaś jak do własnych prac, tak do robót swych współpracowników przykładął dość surową miarę, *Przegląd* pod jego kierownictwem przeżywał pomyślne czasy. W wielu zagadnieniach torował drogi pionierskie, co już zaznaczyło się w jego krótkiej działalności teologicznej. Sam głęboki humanista, wrażliwy na wszystkie przejawy ludzkiej kultury, był jednym z pierwszych inicjatorów głębszego szkolenia religijnego świeckiej inteligencji w Polsce (artykuły „O wyższe kursa religii dla inteligencji świeckiej”, 1917, „Potrzeba inteligencji katolickiej u nas” 1920, „O inteligencję katolicką”. 1921). Nieprzemijającą wartość będą miały jego rozprawy o katolickim humanizmie, („W poszukiwaniu człowieka”, wydane w formie osobnej odbitki). Obok wytyczania ogólnych zasad dawał też szereg wskazań doraźnych, pilnie śledząc każdy odcinek życia społecznego, związanego z prawami moralności. (Wytyczne ustroju Polski” 1919, „O prawa obywatelskie dla kobiet” 1918, „Drożyna a sumienie obywatelskie”, 1920, „Socjaliści a Kościół” 1919, „Wygląd loży masonskiej” 1921, „Sztuka chrześcijańska” 1921, „Ku uzdrowieniu polskiego nacjonalizmu” 1927, „Przeciwno projektom rozwodowym” 1929). W wykazie prac O. Urbana drukowanych w *Przeglądzie Powszechnym*, widnieje ponad 130 tytułów różnych rozpraw i blisko tyleż omówień *Spraw Kościoła*. Poza tym ukazało się drukiem kilka książek jego pióra.



Ks. JAN URBAN T. J.

Od roku 1934 uprosił sobie zwolnienie z głównego redaktorstwa, by oddać się zupełnie swojej pracy wschodniej, która koncentrowała się odtąd około osobnego czasopisma pt. *Oriens*. Praca ta wszakże nie trwała zbyt długo, gdyż zdrowie, zawsze raczej wątłe, przed samym wybuchem wojny, zaczęło chwiać się na dobre. Wzruszenia i prywatnie wojenne nie były pewnie obce temu pogor-

szeniu. W sierpniu 1940 roku był już zrezygnowany na rychły koniec, patrząc w zbliżającą się śmierć z taką samą jasnością i odwagą, z jaką spoglądał w wielkie myślowe problemy. Zgasł pobożnie 27 września tegoż roku, złożony na cmentarzu rakowickim w Krakowie.

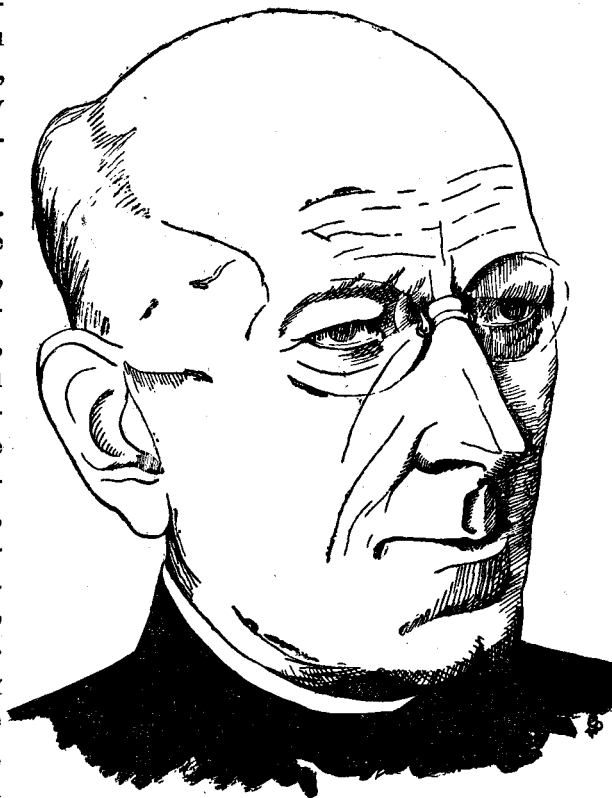
Dwóch drogich kolegów przy redakcyjnym stole, jednego poprzednika, jednego następcę, zabrała straszliwa katastrofa, która na nasz warszawski Dom Pisarzy, przy ulicy Rakowieckiej, spadła 2 sierpnia 1944 roku.

Natychmiast po wybuchu powstania, właśnie tam, gdzie ani iskra powstańczego ognia nie doszła, zaczęła się na okrainach miasta, nie już gwałtowna, ale dzika represja, podyktowana chyba żądzą rabunku, albo tym nieprawdopodobnym o-

krucieństwem, jakim odznaczała się przeważna część najeźdźców. Do Domu Pisarskiego wtargnęła przed południem gromadka niemieckich żołnierzy, która spędziwszy ponadto kilkanaście osób, nam zupełnie nieznanych — osoby te pracowały na działkach ogrodowych w pobliżu — zebrała wraz z nimi wszystkich mieszkańców, tj. zakonników i służbę w niewielkim pokoiku suterenu. Na tę stłoczoną w ciasnocie gromadkę najnieвинniejszych ludzi — było razem osób około pięćdziesięciu — zaczęto rzucać granaty ręczne, a ruszających się jeszcze dostrzelivano z karabinów. Nareszcie wyszli żołnierze ciężkimi butami na cały ten stos drgających ciał, oddając strzały rewolwerowe do tych, co zdawali się mieć jeszcze resztki życia.

W tej nieludzkiej rzezi, która zabrała nam wtedy siedemnastu Ojców, kleryków i Braci, obok kilku innych starców, zginął i sędziwy O. JAN PAWELSKI.

Urodzony w r. 1868 w Trzecie koło Rzeszowa, przyjęty do zakonu w r. 1884, po skończeniu studiów w Krakowie, jeszcze pod założycielem „Przeglądu, O. Mar. Morawskim, zaczął zaprawiać się do pióra. Z niemałą pracą wyrobił sobie styl nie tylko poprawny, ale chwilami piękny, a przede



Ks. JAN PAWELSKI T. J.

wszystkim zdolny do subtelnego oddania delikatnych odcieni. Specjalnością jego była krytyka literacka. Przez sumienne wysiłki w tym kierunku, przy niemalym nadto poczuciu aktualności, wyrobił w sobie umiejętność trafnego ujmowania charakteru czy to pewnych doktryn, czy tendencji i ruchów, które na łamach Przeglądu raz po raz omawiał. Gdy powierzone mu w r. 1902 redakcję miesięcznika, nie tylko własnym piórem przyczynił się wybitnie do podniesienia Pisma, ale z zupełnie osobliwym w tej mierze talentem, umiał wciągnąć do współpracy wybitnych spoza zakonu, pisarzy. Jego też staraniem ukazał się szereg „Broszur o chwili obecnej“ oraz pewne większe kolekcje np. zbiór rozpraw o Skardze, jubileuszowy, po 25 latach, zeszyt Przeglądu itp. A że był to charakter prawy i, mimo pewnych zewnętrznych nieładów życiowych, gruntownie pobożny, wywarł zbawienny wpływ na niejedną duszę, np. na gasnącego pod jego duchowną opieką autora *Wesela*. Przeniesiony do Warszawy, bywał raz i drugi, „sejmowym“ kaznodzieją, a nadto przez pewien czas głosił stale słowo Boże w Belwederze. Nadchodząca wielka wojna zastała go już w stanie fizycznego, a po części i umysłowego niedołęstwa. Łudził się wprawdzie nieraz, że potrafi do pracy powrócić, ale siły odmawiały posłuszeństwa, aż wreszcie brutalny zamach niemieckiego mordercy położył kres pracowitemu życiu.

Choć przez kilka tygodni nie mieliśmy o tym fakcie pewnej wiadomości, najgłówniejszą i zapewne pierwszą ofiarą tragicznego dnia 2 sierpnia był superior domu i pisarstwa, a zarazem naczelny redaktor Przeglądu, OJCIEC EDWARD KOSIBOWICZ. Nie zamknięto go z innymi w suterrenach, ale na samym początku mordeczej i rabunkowej napaści, wyprowadzono go pod eskortą o jakieś 500 kroków od domu i tam na kraju mokotowskiego błonia, u samej granicy miejskich ogrodów, kilku wystrzałami karabinu położono kres jego życiu.

Urodzony w Nowym Sączu w r. 1895, jako czternastoletni chłopiec wstąpił do zakonu, przynosząc ze sobą świetne zdolności i umysł do wszystkiego otwarty. Po części studiów odbytych w kraju, na dalsze nauki wysłany został do Anglii i Belgii. Tam zainteresował się na razie zagadnieniami z dziedziny antropologii i historii porównawczej religij. Owocem tych

zainteresowań i studiów była poważna praca, wydana w roku 1927 pt. *Problem ludów pigmejskich*. Potem jednak pociągnęły go bardziej aktualne kwestie religijne i organizacyjne, które poruszał w pismach *Sodalis Marianus* oraz *Wiara i Ży-*



Ks. EDWARD KOSIBOWICZ T. J.

cie. Przygotowany w ten sposób, po przeniesieniu głównej części wydawnictw do Warszawy, objął w r. 1936 redakcję Przeglądu. Umysł jego niezmiernie chwytny, orientujący się łatwo, a przy tym ostrożny, stanął od razu na wysokości zadania. Choć te cztery lata, podczas których kierował Pismem, były z wielu względów trudne, znać było, że i pod względem administracyjno-technicznym i ideowym doskonale sprosta za-

daniu, któremu, po ludzku, mógł poświęcić się jeszcze przez długie lata.

A jednak w tej dziwnie bogatej i zdolnej umysłowości główną siłą nie było pisarstwo. To w co wkładał całą duszę i czym najsilniej działał na dusze innych, było żywe słowo. Zaczął od kazań niedzielnych i świątecznych w kościele Serca P. Jezusa w Krakowie. Od roku 1936 zaś do śmierci wygłaszał je w stolicy przy ulicy Rakowieckiej od ołtarza przy mszy świętej o 10-tej godzinie. Niebawem słuchaczy było tylu, że nie tylko nie mogła ich pomieścić obszerna kaplica, ale trzeba było przez głośniki umożliwić słuchanie formalnym tłumom, które wypełniały i przedsionek i schody i całe wejście do domu. Podobnie rzecz się miała z jego konferencjami rekolekcyjnymi, których jedną serię wydano pod tytułem *Christianus sum*. Gdy jedno z ostatnich rekolekcyj głosił w kościele Wizytek w Warszawie, godzinami przedtem zajmowano miejsca i cała ta ogromna rzesza samej prawie inteligencji, wypełniająca po brzegi obszerny kościół, słuchała w największej ciszy i skupieniu, by nie uronić ani jednego z wymownych, gorących słów, padających z ambony.

Nic więc dziwnego, że ogólny żal wywołała wiadomość, jaka rozeszła się po wygaśnięciu powstania, że to dzielne, w sile wieku, życie przecięte zostało najniespodziewaniej, okrucieństwem niemieckich oprawców. Kochające dłonie podniosły wnet jego zwłoki, płytko zakopane na miejscu niecnej egzekucji i postawiły skromny krzyżyk tam, gdzie krew przełał, nie za co innego wreszcie, tylko za służbę Bożej sprawy. Nie stanął jednak przed Bogiem nieprzygotowany, bo na dwa dni przed tragicznym końcem, jednemu z przyjaciół, pytającemu, co robi, odpowiedział krótko: Gotuję się na śmierć!

Tak odeszli od nas trzej pracownicy, którzy na łamy Przeglądu przez kilkadziesiąt lat rzucali obfity posiew z zasobów swej myśli i serca.

Należy im się od nas bez wątpienia coś więcej, niż takie skromne wspomnienie. Nie chcieliśmy jednak rozpoczynać nowego okresu pracy bez myśli o tych, co niedawno odeszli, i którzy — jak ufamy — będą wspierać nasze kroki swym wstawiennictwem u Boga.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Sąd historii

Die Weltgeschichte ist das Weltgericht powiedział gdzieś Schiller, który zresztą, o ile wiadomo, nie wydał żadnego sądu o największej zbrodni owych czasów — o rozbiórce Polski. Słowacki ośmieszył sąd historii w epilogu *Balladyńy*, kiedy już wszyscy bohaterowie tragedii (z wyjątkiem suflera) zginęli, a straszliwą władczynię poraził piorun, wychodzi zza kurtyny Wawel, narodu dziejopis, i kłaniając się publiczności, na jej żądanie, jako bezstronny i naoczny świadek, wychwala Balladynę: „królowa jak Salomon panowała mądrze, więc musiała być mądra — przy mądrości cnota”. Na to publiczność: „Danie Wawel, zaprędką twych sądów szczodrota, było za kulisami stać od pierwszej sceny”. Wawel nie daje się stropić: „Autor niniejszej książki słusznie wam opowie, że odkąd nosi wieniec laurowy na głowie, piorun weń nie uderzył”. Publiczność: „Dochlebiasz, mój łysy i królom i poetom, idź precz za kulisy”.

Bliski Schillerowi duchem Jan Jakub Rousseau brał jednak tę sprawę całkiem serio. Powołując się na starożytnych Egipcjan, którzy podobno nad każdym zmarłym faraonem urządzali sąd pośmiertny i zależnie od wyroku udzielali honorów monarszych albo odmawiali, Rousseau proponował Polakom, aby naśladowali ten przykład: „w przewidywaniu takiej uroczystej procedury, aby zyskać epitet „sławnej pamięci” oraz zaszczyty i łaski dla dzieci, nieieden władca wstrzyma się od występku i pójdzie drogą cnoty”. W czasach bismarckowskich i pobismarckowskich nazwisko Rousseau’a nabrało takiego dźwięku, że cokolwiek uchodziło za plód jego myśli, miało markę szkodliwego szaleństwa. Więc i historiografia, pod niewątpliwą sugestią nauk przyrodniczych, odrzuciła jak stary rupieć pojęcie sądu historii. „Przezwyyczajony już jest, przynajmniej w teorii ten pogląd — pisał utalentowany historyk szwedzki Harald Hjärne — jakoby historia miała poważnie zasiadać i wyrokować w ostatniej instancji o zmarłych. Któż żąda, aby zoolog wyrażał zadowolenie lub niezadowolenie z drapieżnych zwierząt i śpiewających ptaków, zamiast tego, by chłodno wyjaśniać ich własności i miejsce w królestwie natury...”

Tak samo się ma i z historią, która według słów Rankego ma jedynie stwierdzić, jak to właściwie było. Nienależycie przywłaszczone sądownictwo w tym razie jest równoznaczne z zaniedbaniem właściwej powinności. Jeżeli już koniecznie trzeba brać porównanie z postępowania procesowego, to można zaryzykować twierdzenie, że historia sama nie orzeka, tylko prowadzi protokół i w miarę możliwości przedstawia referat... Ale któż jest w takim razie właściwym sędzią?... Może nim być każdy, kto chce, kto poczuje ochotę zasiadania na krześle sędziowskim. Wcale jeszcze nie powiedziano, że w ogóle tu na ziemi jest jakaś istota powołana lub choćby uprawniona do ferowania wyroków na przeszłość i jej bojowników. Nie ma pozytywnej ustawy, według której można by się w takich sprawach kierować, i myśl człowieka nie zdoła chyba wykryć wyższych praw, jakie przy tym powinnyby niewątpliwie obowiązywać.

A jednak wciąż się jakoś sędzi bez względu na kompetencję, i historia uważnie przysłuchuje się takim orzeczeniom, podobnie jak śledzi inne wyczyny ludzkie, wciąga je do swoich protokołów, jako rzeczy charakteryzujące samych oceniaczy, ich lud, kulturę i epokę. Sama na tym poprzestaje i pisze dalej swój tekst. Tak samo postępuje historia z uczuciami sympatii lub niechęci, jakie osobistości historyczne budzą w piersi potomnych. Historyk to człowiek i nie więcej, i jako taki nie ma on nawet obowiązku tłumić swych uczuć, chyba gdy występuje w imieniu historii. Może to być trudnym, ba nawet niemożliwym: sam język staje na przeszkodzie całkowitemu spełnieniu tej powinności, boć każde słowo, oznaczające ludzki postępek lub właściwość, nosi posmak uznania lub zarzutu. Ale jeżeli nie da się w całej pełni osiągnąć ideału nauki, to pozostaje wymaganie, by się doń zbliżyć w miarę sił. Właśnie wymaganie tej „obiektywności” sprawia, że badanie dziejów staje się szkołą panowania nad sobą...”

Wyreczyłem się słowami Hjärnego, aby zawczasu uwolnić czytelników od pokusy porównywania historii z zoologią, i uprzedzić ich, że bez sądu się nie obejdzie i że zetkniemy się z kwestią historycznego kodeksu. Jakkolwiekby odruch przeciw dziejopisarskiej jurysdykcji zrywa się co jakiś czas, niekiedy nawet z dość nieoczekiwanej strony. Taki np. Stanisław Pieńkowski, publicysta narodowego kierunku, pisał kiedyś z przejęciem o „czystości spojrzenia historycznego”, u nas podobno bardzo zanieczyszczonego moralizatorstwem. I trzeba przyznać, że w tym coś jest: można wraz z Bolesławem Prusem uciszyć na chwilę westchnienia serca, i pomruki sumienia, i obserwować z wysokości, jak się rozwijają lub kruszą na globie ziemskim ekspansje i dążenia, podobne do pochodów pleśni na kamieniu grobowym... Pleśń świata... *Habel habalim, amar Kohelet, habel habalim, hakol habel* — Marność nad marnościami, mówi Kaznodzieja, marność nad marnościami i wszystko marność...

A jednak nie! Coś się, w nas burzy przeciw takiemu indyferentyzmowi w traktowaniu dziejów. Kto zadał gwałt, odmawia pogwałconemu prawa sądenia go według społecznych norm etycznych — i apeluje do historii. A ten, kto doznał gwałtu, przegrawszy sprawę u społecznych, tym bardziej odwołuje się do sądu potomnych. Posłuchać tylko, jak się wywnętrzał na sejmie 1767 roku poniżony nad miarę swoich win Stanisław August: „Przyjdzie, przyjdzie dzień ten gdzie pozostały ze mnie już tylko martwy popiół znajdzie obrońców, którzy się u swych ojców wy-pytywać będą: co ten król zrobił? co zawinił? którego rozżalone serce porywczności narodu i na sobie doznać musiało? ale niech ci sądzą tę sprawę, którzy natenczas żyć będą — mnie o tym mówić zbyt gorzko”. To wołanie o sprawiedliwość ma dla mnie moc rozstrzygającą. Jakże to? Mielibyśmy dla „czystości spojrzenia historycznego” zostawiać nietknięte fetysze obłudników i odmawiać obrony zapoznanemu dobru? Czytać Plutarcha bez uczucia czci, a przy lekturze pamiętników Matuszewicza doznawać wszystkiego z wyjątkiem niesmaku i pogardy? Jeżeli coś jest warte nasze obcowanie z przeszłością, to czyż ono będzie doskonałszym bez udziału tak zwanego sumienia, niż z jego udziałem?

Życiową konieczność sądu historii zrozumieli, choć niedostatecznie, nasi ustawodawcy kwietniowi, którzy stwierdzili w Konstytucji odpowiedzialność prezydenta Rzplitej przed Bogiem i historią: mówimy „niedostatecznie”, bo również i czynniki podrzędne, odpowiedzialne przed prezydentem, na równi z nim podpadają pod sąd dziejowy. A można by tu dodać i dalszą refleksję, że w chwilach trudnych, kiedy trzeba w imię dobra narodu puszczać w niepamięć przeszłość, taka amnestia z dołu przychodzi tym łatwiej, im większa panuje pewność, że historia prawdę rozpozna i ogłosi.

Zresztą nie chodzi tu bynajmniej o jednostronne wywyższanie się potomków ponad przodków. Rozumiał to Wyspiański, gdy kazał swemu mistrzowi Szujskiemu kajać się przed otwartą trumną Kazimierza Wielkiego:

Widziałem twoją wielkość i twą nędzę —
Czyliś przed oczy moje stawion, truchło,
lżbym twe grzechy w twoich dziejów księdze
Wymazał, iżby zgnilizną nie cuchło
Co ma być strawą żywych i snuć przędzę,
Aby z niej nowym ogniem życie buchło?
Historia. Dzieje. Otom jest w sumieniu
Porażon sędzia — wybacz, sędzio-cieniu.

W imię więc tej samej logiki, która się zawiera w biblijnym powiedzeniu: *Nie sądźcie, abyscie nie byli sądzeni*, sądzymy i sądzić chcemy, ponieważ sami pójdziemy pod sąd dziejów. Ważymy się niejako na szalach dobra i zła z Bolesławem Śmiałym i ze św. Stanisławem, z Zamoyskim i Zborowskim, z Poniatowskim i Potockim, i właśnie takie współzycie moralne pokoleń, a nie chłodna

obserwacja „pleśni świata”, czyni z nas jedną tysiącletnią rodzinę, zwaną narodem polskim.

Przyznał zresztą między wierszami sam Hjärne, że czyste bez domieszki sądu spojrzenie historyczne jest mrzonką. Sofiści mówili, że gdyby nawet można było prawdę poznać, to nie dałoby się jej zakomunikować innym. Słuszniej można by powiedzieć, że gdyby dało się osiągnąć „czyste” spojrzenie w przeszłość, to by się nie można było podzielić nim z innymi. Mowa ludzka jest na wskroś przesiąknięta uczuciowością, zwłaszcza gdy wyraża rzecz międzyczłowiecze. Wyraz „zemsta” brzmi trochę bardziej nagannie niż „odwet”, „zdrada” gorzej niż „odstępstwo”, „grabież” gorzej niż „zabór”, „zabór” gorzej niż „aneksja”, ale ton uczuciowy towarzyszy tym wyrazom zawsze, w związku z treścią opowiadania. Kto by próbował zastąpić takie terminy skąpane w moralistyce, innymi, sucho-prawniczymi, ten by nie powiedział wszystkiego, wyjąłoby tylko prawdę dziejową i wykrzywiłby ją (bo odwet niezupełnie identyczny jest z zemstą). Jeżeli Polak nazywa fakt z roku 1772 zaborem Prus Królewskich, to wyraża więcej niż Niemiec, który pisze o *Besitzergreifung Westpreussens*, z pominięciem cechy bezprawia, a przecież prawo i bezprawie to są pierwiastki niemniej realne, niż brzydota i piękno utworu literackiego.

Skoro się więc bez sądu dziejowego obejść nie można, to lepiej sądzić poprawnie, niż niechłujnie, i lepiej postępować tak jak uczynił Francuz Seignobos w przedmowie do *Dziejów Politycznych Europy Współczesnej*, to znaczy, wyznać publicznie, że się ceni nade wszystko pewne idee czy pewne wartości, aby czytelnik wiedział, co dany autor daje z siebie, a co czerpie ze świata zewnętrznego. Historia cała osnuta jest na wartościach, wciąż nawiązuje do wartości, ale takie nawiązywanie (*Wertbeziehung* u Rickerta) nie jest jeszcze sądem, idzie ono za naturalnym związkiem rzeczy, stanowi część poznania rzeczywistości, kiedy przeciwnie nasza ocena wtrąca do poznawania treść całkiem obcą, aprioryczną. Wynika stąd morał... dość niemoralny. Innym szlakiem posuwają się procesy naturalne. Rzeczywistość sama w sobie nie jest ani zła ani dobra. Wartościowanie i rzeczywistość to są płaszczyzny, które się spotykają tylko okazyjnie. Wartościowe przyczyny mają mnóstwo bezwartościowych skutków i na odwrót. Cnoty wyrastają nie tylko z cnót, ale i z wad. Ojciec był np. skąpcem, syn człowiekiem oszczędnym, ojciec odważny, syn zuchwały; z krzywdy ludzkiej wyrastają wielkie fortuny, które krzywdzicielom albo ich potomkom pozwalają czynić dobrodziejstwa itd. Zupełny rozbrat między cnotą i naturą trzeba mieć ciągle na względzie, aby uniknąć lekkomyślnych uogólnień o smutnym końcu wszystkich pięknych rzeczy na świecie, tudzież złudnych mniemań, jakoby rzeczy prawe i piękne były tym samym zdrowe, żywotne, silne.

Spróbujmy teraz wyraźniej ograniczyć zakres i istotę właściwego sądu dziejów. Raz pó raz bowiem słysząc zdania, które zakrawają na sąd, a jednak nim nie są. Do tego trybunału pozywają się niekiedy programy społeczne i polityczne, a nawet i strony, których sąd państwowy nie zadowolili. Owóż rozsądzenie, po czyjej stronie leży prawo czy słuszość, rewidowanie takich procesów jak Hampdena czy Dreyfussa, choćby interesowało kiedyś historyków, doprowadzi jedynie do konstatowania faktów, a nie do sądów w naszym znaczeniu. To będzie znów historia, a nie sąd dziejowy. Również nie podciągniemy pod tę nazwę zwykłych pomiarów zjawiska dziejowego ani nawet pomiaru ludzi. Kto mówi, że oświata zrobiła w pewnym kraju zdwojone postępy, albo że Lelewel był olbrzymem pracy, ten stwierdza rzeczywistość, ale jej nie ocenia. Tak samo nie należą tu orzeczenia na pozór naganne lub pochwalne, które nie wypowiadają osobistego przekonania historyka, lecz tylko zapatrywanie autorów źródeł. Na każdym kroku spotykamy podobne niby sądy, i rzecz to zrozumiała. Odtwarzając ludzką rzeczywistość, dziejopis musi wygrywać na swoich lub cudzych strunach nutę najbardziej ludzką — nutę oceny moralnej. Reprodukujemy cudze gniewy, żale, oburzenia, zgorszenia, zachwyty, pochwały, ilustrujemy historię przekrojami cudzych dusz; takiego udawania (omal nie przedrzeźniania) cudzych przeżyć, wsuwania się w cudzą skórę nie podobna inaczej nazwać jak ironią, a wyrazić tego inaczej nie można jak za pomocą cudzysłowu. Niekiedy autor, dążąc do najwierniejszego odtworzenia, wyrzeka się zupełnie własnych sądów, mówi wciąż tylko cudzymi ustami, a nic od siebie. Kto na czyjś toast ironizuje, ten zwykle cudzych myśli nie szanuje i nie podziela; stąd wynika pozór pogardliwego sądu nad osobnikiem, z którego myślą piszący nie chce się solidaryzować. Otóż to także nie jest żaden sąd, tylko po prostu ironia.

A teraz, aby nareszcie dojść do pozytywnego wyobrażania, czym jest właściwy sąd historii, zestawmy trzy przykłady. Maria Ludwika Gonzaga przekupstwem kaptowała sobie senatorów dla przeparcia elekcji *vivent le rege*. Mamy na to gotowe potępienie: postępowała źle. Sąd prymitywny, niemal odruchowy. Maria Ludwika, zamiast oświecać umysły, działała na senatorów przekupstwem: sąd może trochę naiwny, ale już bardziej wyrobiony; polega on na przeciwstawieniu występkom spóźnionej o trzy wieki dyrektywy. Ściśle biorąc, każdego, kto gani czyjeś w przeszłości postępowanie, godziłoby się spytać: jak, zdaniem Pańskim, ów człowiek powinien był postąpić? przy czym historyk moralista wychodziłby z założenia, że wówczas obowiązywała taka a taka moralność, zaś historyk-polityk doszeptywałby sobie w duszy: gdyby on postąpił należycie, to osiągnąłby taki a taki lepszy rezultat. Ale i na tym nie koniec. Oto Polacy w szlachetnym wysiłku uchwalają Konstytucję 3 Maja: czynią dobrze. Katarzyna II uwzięła

się zniszczyć to dzieło i ukarać Polaków rozbiorem — źle. Fryderyk Wilhelm pruski dodał patriotom polskim odwagi, nawet udzielił poparcia, a potem przerzuca się na stronę Rosji — też źle, ale trochę lepiej. Leopold II cesarz popiera Polaków dobrym słowem, ale nie czynem — także niedobrze, ale dużo lepiej. Mamy przed sobą stopniowanie, i tedy odsłania się nam istota problemu.

Sąd dziejowy jest to odbijający się w świadomości historyka akt jego wycucia polegający na wymiarze dobra i zła w pewnym obiekcie — tak będziemy pojmowali tę nazwę w dalszych rozważaniach nad różnymi składnikami problemu. Analizy domagają się: podmiot sądzący, przedmiot sądu, normy oceny oraz sama funkcja sądenia

A. Kto, kogo lub co może sądzić i w granicach jakiej kompetencji? Bohaterów sądzą zadowoleni poczciewcy, łamaczy porządku świata — filistrzy, ascetów — rozpustnicy, tchórze — nieustraszonych wodzów, wygodnisie — spartańskich rycerzy, prostaczkowie — dyplomatów, niedowiarki — ludzi wierzących, dogmatycy — krytycznie myślących filozofów, i tak dalej. Przydałoby się chyba sprawdzenie kwalifikacyj tak dobranej ławy przysięgłych. Otóż wyrok, jeżeli nie może być bezwzględnie przedmiotowym, to w każdym razie powinienby oczyścić się z nadmiaru podmiotowości. Jakież to warstwy podmiotowego zboczenia obciążają naszą zdolność sędziowską? Mniejsza już o to, że jesteśmy ludźmi, i że nie na nas kończy się historia. Bez ludzkiego naszego ja nie moglibyśmy nie tylko osądzić, ale i poznać cudzej jaźni: nie byłoby aparatu, na który by można przyjąć depeszę z przeszłości. Że wyrok nasz nie będzie ostatnim słowem sądu dziejowego — też trudna rada. Niechaj przynajmniej taki zracjonalizowany rzut odczucia na czyjeś dobro lub zło nie zamyka się wśród ciasnych horyzontów i nie odpowiada potrzebom jednego tylko przelotnego momentu. Wspaniale pisał o prawdziwym wysokim trybunale dziejów Askenazy:

„Historyk pisze o ludziach i rzeczach ludzkich, największych, najdonioślejszych, tedy może i powinien zabierać głos osobiście. Lecz ten głos niechaj będzie nie prokuratora albo adwokata, lecz głosem sędziego, niechaj wychodzi nie z namietności i udziału, lecz z sumienia. Z czystego i jasnego sumienia, oświeconego zupełną, niemylną wiedzą rzeczywistości minionej, a wraz z dostatecznym pojęciem obecnej, z niezbędnym przeżuciem nadchodzącej. Zaś nade wszystko z sumienia, gdzie zrodzone z powszechnej ludzkiej kultury, żyje nieśmiertelne kryterium moralne, nie to samo kryterium, jakie wolno mieć rządzącym, stronnictwom, obywatelom, lecz nieskończenie wyższe, surowsze i mędrsze, żyje i orzeka wyraźnie, co jest obowiązkiem, co prawem ogółu uspołecznionej ludzkości, co słuszne, dozwolone, karygodne w odosobnionym życiu wewnętrznym i we wzajemnym towarzyskim pożyciu cywilizowanych państw i narodów. Takie sumienie historyka dziejów powszechnych będzie jakoby wielki czasomierz astronomicznego obserwatorium: nie zależy od pory, przypadku ani od szerokości geograficznej, nie przyspiesza ani się spóźnia, niechybne wska-

zuje godziny, i właśnie dlatego, że wysoko się wznosi ponad rozgwar i wstrząśnienia przemijającej doby, tutaj to ostatecznie rychłej czy późniejszej sprawdzają się i prostują zegary prywatnego człowieka, gmachów rządu i prawodawstwa, nawet wieżyc kościelnych. Tak przynajmniej powinien wyglądać ideał”.

Mybyśmy spróbowali wyrazić mniej więcej to samo za pomocą ściślejszych, mniej obrazowych formuł. Trzeba starać się przezwyciężyć w sobie dwojaki subiektywizm w stosunku do innych subiektywnych ocen dzisiejszych i w stosunku do zbyt odległej przeszłości. Jest pożądanym, aby wyrok na wyprawę wiedeńską czy na rokosz Zebrzydowskiego zapadał nie tylko przed forum Jarochońskiego czy Schmitta, ale żeby to był wyrok najwyższej prawdy, na jaką dzisiaj nas stać. Oczywiście droga do wyjścia z takiego subiektywizmu nie prowadzi tylko przez kompromis z poglądami innych historyków, nie przez wypośrodkowanie jakiejś wypadkowej spomędzy pochwał lub nagan, będących w obiegu. Wspólnym dobrem pokolenia jest nie pogląd przeciętny, lecz pogląd najlepiej reasumujący całość wiedzy i mądrości ogółu sędziów. Ku takiej pozaosobistej prawdzie sądowej powinien się nasz wyrok wznosić ponad wszelkie szranki zawodowe, klasowe i nawet narodowe: on nie powinien być ani wyrokiem żołnierskim o żołnierzach, legistatorskim o prawodawcach, ani mieszczańskim o szermierzach sprawy miejskiej, ani nawet polskim. Wszelkie ograniczenie kwalifikacyj sędziego robiłoby jego orzeczenie względnie ważnym, ważnym tylko dla danej specjalności, klasy, narodowości. Wyrok, jeżeli ma być poważny, niech będzie bezwzględny, uniwersalny. Gdyby więc prawdą było, że w historyku obok badacza jest miejsce na artystę i obywatela, to taką sędziowską mógłby w jego osobie przywdziewać chyba obywatel wszechświata. Inaczej nie moglibyśmy żądać od Niemców sprawiedliwego sądu o Fryderykach i Bismarckach.

Trudniejsza sprawa z pokonaniem tych subiektywnych wykrzywień, które wynikają z odległości epok — *idola aetatis*, powiedziałby może Bacon. Długie wieki rozwoju psychicznego dzielą nas od różnych obiektów dziejoznawstwa i sądu dziejowego. Ułatwiają one bezstronność, ale ciągną za sobą bezbarwność widzenia. Jeżeli nawet przyjąć, że kilka tysięcy lat objętych historią dokładnie znaną nie znaczą nic wobec powolności rozwoju życia psychicznego poprzez dziesiątki wieków, to rozwój moralny odbywał się prędzej, zależnie od dość szybko zmieniających się form społecznych. Zdarza się nieraz reagować na ciemne i jasne strony życia, które podlegało zupełnie innym normom niż nasze. Z uczuciami jeszcze pół biedy. Kto ma eliksir sympatii, ten odczuje wieki średnie i potrafi z nimi współczuć w swoim sumieniu, kto go nie ma, nie nabędzie go z żadnej metodologii. Talent sędziowski chadza względem przeszłości w parze z talentem odtwórczym; daje się on wytłumaczyć, jako owoc dziedzicznej kultury, jako „charakterologiczna” predyspozycja z Bożej łaski. — Niestety, jeżeli uczucia

nasze zamierzcze mogą odezwać się między sumieniem przedwiecznym i dzisiejszym i powiązać jedno z drugim, to od poglądu dzisiejszego do poglądu dawnego cofnąć się chyba trudniej. Postęp intelektualny człowieka polega w ogromnej mierze na klarowaniu się wyobrażeń i pojęć. Kto raz rozpoznał w mętnej dali pewne kontury, ten w podobnych warunkach będzie je widział za każdym spojrzeniem; pokolenie, które raz wyklarowało i różnicowało sobie pogląd na rzeczy niegdyś zamazane, nie cofnie się już do dawnego chaosu. Dlatego powrót do pierwotnego niejasnego ujęcia wydaje nam się sprawą conajmniej równie trudną jak powrót do odczucia dawnych stanów emocjonalnych. Możliwy on jest chyba drogą pośrednią przez wnikliwą rekonstrukcję pierwiastków, a nie przez chwyt bezpośredni.

Warto więc zastanowić się nad tym, o ile możliwe jest wyrokowanie bez błędu na zbyt wielką odległość, mianowicie na odległość ewolucji moralno-intelektualnej. Jeżeli aż tak daleko ma sięgać sąd dziejowy, to z powyższych względów kompetencja jego zasługuje na analizę, i sam sędzia powinien, że tak powiemy, umieć patrzeć przez różne historyczne okulary. Dobrze, jeżeli go łączy z daną epoką ujęcie tego samego celu, mimo różnicy w wyborze środków godziwych: wtedy osiągamy bezbłędny kontakt poprzez cele. Jeżeli jednak zachodzi rozbieżność w kierowniczych aspiracjach, to wyrok polegać będzie na nieporozumieniu. A nie chodzi tu wcale, jak zobaczymy niżej, o jakieś wielkie dystanse etapów kultury: etyka publiczna, bardziej chwiejna niż prywatna, ulega zmianom czasem co parę pokoleń, czasem jeszcze szybciej.

Przejdźmy do dalszych refleksji — nad przedmiotem sądu. O czym się wyrokuje: o wypadkach, uczynkach, rzeczach czy ludziach? Spadają czasem gromy potępienia na całe epoki, np. na barbarzyńskie wieki średnie, na „próżniaczą i bezjutną” epokę saską. Ganią one bywają lub wysławiane systemy, ustroje, urządzenia, np. konfederacje, albo obyczaje, np. tolerancja, albo czyjeś dzieła, np. *Zbiór Praw Sądowych* And. Zamoyskiego. Kto wie, czy nie czepia się czasem sąd dziejowy nawet takich faktów, za które nikt z ludzi nie jest odpowiedzialny.

Usuńmy więc co do tego wszelkie nieporozumienia. Fakty mogą być ważne lub błahe, ciasne lub szerokie, obfite w skutki albo jałowe, szczęśliwe lub nieszczęśliwe z czyjegoś punktu widzenia, ale oczywiście nie mogą być ani dobre ani złe. Rzeczy, tj. wytwory dziejowe, mogą być wielkie lub małe, użyteczne lub szkodliwe, można je mierzyć, kojarzyć, ale nie stają one nigdy przed sądem dziejowym. Wprawdzie historyk finlandzki Arwid Grotenfelt napisał całą książkę o *Wertschatzung in der Geschichte*, gdzie mowa o przeróżnych wartościach cywilizacyjnych bezwzględnych i względnych; wartością można nazwać ludzkość, naród, państwo, elitę, nadczłowieka, indywidualność (Goethe: *Höchstes Gut der Erdenkinder ist... die Persönlichkeit*), wolność, zbiorowy czyn,

całopalne poświęcenie, wszechmiłość, równość, ale kanonizacją tych różnych świętości zajmuje się *sui generis* filozofia, a historyk już tylko przykłada miarki do konkretnych zjawisk przeszłości, o ile, rzecz prosta, ma na to czas, bo zwykle zainteresowanie pewną rzeczą pędzi go do szukania jej przyczyn i sensu. Pytamy także, co wart jest francuski parlamentaryzm *sub specie* wolności obywatelskiej, co warta portugalska dyktatura dla prestiżu państwa na zewnątrz, jak wpływał faszyzm, a jak sanacja na ducha publicznego we Włoszech, względnie w Polsce. Wszystko to jednak należy, jak zobaczymy, do sądu politycznego, a nie do etycznego.

Dlatego wszelkie wyrokowanie jest najzupełniej zbędne w historii rozwoju tych czy owych poglądów, przekonań, zwyczajów, obyczajów, norm; historyk może przechodzić obok nich właśnie z owym pogodnym obliczem Włocha czy też Rosjanina, co to nie łamali rąk ani nad Cezarem Borgią, ani nad Iwanem Groźnym. Dopiero poza sferą dziejów kultury i rozwoju społecznego, na kartach historii politycznej nie potrzeba i nawet trudno stłumić w sobie sądu. Tu wszystko okazuje się w aspekcie możliwości i swobody. Wolny (choć nie wszechwładny) człowiek sam sobie wykuwa jutro; historia, jak słusznie mówił na otwarciu kongresu w Zürichu (1938) dzisiejszy prezydent Szwajcarii Etter, nabiera sensu, jako historia ludzkich odpowiedzialności. Monadą wszystkiego jest tu człowiek i jego czyn, albo raczej na odwrót: czyn i człowiek, z którego czyny wytryskają. Starej kontrowersji o to, czy postęпки płyną z charakterów (*operari sequitur esse*), czy na odwrót charakter krystalizuje się z czynów, nie będziemy tu roztrząsać. Dla nas przyczyną poznawczą, przejawem, próbką duszy jest akt woli. Wobec niego najbezpośredniej, natychmiastowo możemy zająć etyczną postawę, i dopiero według czynów sędzimy o jakości danego człowieka. Taka indukcja z postępków o ich źródle daleką bywa, oczywiście, od ścisłości; od konkretnego przejawu do urojonej dyspozycji ścieżka wątpliwa, a od różnych dyspozycji do ich ośrodka i całokształtu, zwanego charakterem, przejście jeszcze wątpliwsze. Z drugiej atoli strony czyn może się wydać gorszym lub lepszym, zależnie od tego, czy był postępek w porównaniu z poprzednim stanem danego ja, czy też był krokiem wstecz. Pewne tymczasowe wyobrażenie charakteru musi za to towarzyszyć poprawnemu sądowi o konkretnym akcie woli. Formułujemy to niekiedy tak: Tamerlan, jak na dzikusa, postąpił dość ludzko, gdy obwoził Bajazeta w żelaznej klatce, a nie kazał go zabić; przeciwnie, Falaris, jak na Greka, postąpił potwornie, gdy swe ofiary smażył w miedzianym byku.

Jakież to czyny trafiają na rejestr sądu historii: czy tylko pomyślnie wykonane? Pewno że nie, bo w takim razie właśnie lekkomyślnie stłumione zamachy wymykałyby się pod pozorem nieoczytalności, a historia nie zna ludzi ani postępków nieodpowie-

działnych. W ogóle, jeśli naśladujemy w tych rozumowaniach niekiedy pewne sposoby prawniczego ujęcia rzeczy, to jedynie po to, aby zbyteczne kwalifikacje usunąć, a inne w razie potrzeby dodać: sąd historii jest funkcją etyczną, a nie prawniczą. Sądźmy tedy, że podpadają poden nie tylko rzeczy dokonane, ale i usiłowania, i zamiary i požądania, nie tylko rzeczy wybitne, ale i powszednie, jeżeli tylko dany osobnik daną rzecz postanowił. Pokusy odepchnięte, pragnienia stłumione w zarodku, tu nie należą; należy, owszem, fakt odepchnięcia lub stłumienia.

Można by, prawda, postawić pytanie, czy nie podpadają pod sąd historii także uczucia? Przecież ze wstrętem czytamy o nienawiści do Polaków takiej Katarzyny II, a bez wstrętu o nienawiści do Rzymu Hannibala. Otóż właśnie ta różnica świadczy, zdaniem naszym, że sąd historii bierze za przedmiot oceny nie żywiołowy stan uczuć, ale tę pracę, którą dany osobnik wewnątrz siebie według świętych dla niego idei wykonał. Hannibal nienawidził siłę, która miała zniszczyć jego ojczyznę; Katarzyna nienawidziła słabego wroga za to, że go sama krzywdziła. Przekształcenie uczucia w ogień myśli i sumienia to już jest czyn. — Dalej, które to czyny dokonane lub tylko postanowione należą przed nasze forum dziejoznawcze — dobre, złe czy obojętne? W zasadzie absolutnie wszystkie. Nie mamy ani dyplomów cnoty do rozdania ani kodeksu kar do wymierzenia; obojętnych czynów nie widzimy w ogóle, bo próg świadomości moralnej i próg wiedzy intelektualnej w stosunku do przeszłości jest jeden i ten sam. Jedyne ograniczenie wynika tu z ograniczoności naszej psychiki: nikt nie nadażyłby oceniać wszystkich czynów, więc podobnie jak przy ich poznawaniu robi się wybór. *Minima praetor non curat*: nie dociekamy, czy Mickiewicz zrobił dobrze, żeniąc się z Celiną Szymanowską, a tylko czy dobrze, że w r. 1831 nie poszedł do powstania, później zaś poświęcił się tworzeniu legionu. O oddaniu więc danej sprawy pod sąd stanowi niepokój, jaki ona wzbudza w myślach ogółu lub poważnego jego odłamu.

Pozostała jeszcze sprawa kryteriów sądu historycznego. Wróćmy do niej następnym razem.

Prof. Władysław Konopczyński

Istnienie Boga w oświeceniu naukowym.

Niniejsza rozprawa ma być próbą naukowego sformułowania i wyjaśnienia myślowej postawy człowieka, uznającego istnienie Boga. Podkreślam n a u k o w e g o, unikając świadomie słowa „filozofia“ jako zbyt mętnego dla wielu i nieustalonego we współczesnym słowniku kulturalnym.

Do takiego postawienia rzeczy zachęciło mnie określenie nauki, podane przez p. Herberta Dingle'a w rozprawie pod nagłówkiem *Nauka i etyka*, przetłumaczonej na język polski przez M. Chojnowskiego i ogłoszonej w *Życiu nauki* (T. III, nr 13—14, str. 4). Za naukę mianowicie uznaje on „racjonalne porządkowanie faktów doświadczenia“, co brzmi zupełnie przekonywająco i pokrywa się prawie ze wszystkimi nowszymi określeniami nauki (zob. Eisler, *Wörterbuch der Philosophischen Begriffe*, Wissenschaft). Jeśli tak — pomyślałem — to zdanie o istnieniu Boga powinno zmieścić się w ramach nauki.

Po dokładniejszym rozpatrzeniu sprawy doszedłem do następujących wniosków wstępnych. Ażeby odpowiedzieć na pytanie, czy istnienie Boga jest uchwytnie naukowo, należy po pierwsze wskazać dziedzinę faktów doświadczalnych, które mają nas doprowadzić do zdania o Bogu; po drugie — należy ustalić granice i warunki racjonalnego myślenia, którym posługuje się nauka. Zastanówmy się nad jednym i drugim.

Istnienie jako fakt doświadczalny.

Wydaje mi się, że nie ma nic prostszego nad wskazanie faktu, który służy za podstawę teistycznej hipotezy w znaczeniu naukowym. Jest nim mianowicie istnienie.

Jestem jednak pewny, że większość naukowców sprzeciwi się od razu zaliczaniu istnienia do zjawisk obchodzących naukę. Ale w takim razie stajemy wobec następującej osobliwości: fakt najbardziej pospolity i najbardziej podstawowy w każdym doświadczeniu naukowym jest naukowo nieuchwytny. Można wprowadzić słowo „istnienie“ zastąpić słowem „przedmiot spostrzegany“ (w myśl rady prof. Kotarbińskiego). Ale czy istnienie nie jest spostrzegane? Czy nie używamy wciąż istnieniowych orzeczeń: jest, był, będzie, powinien być itd. już w samym protokole doświadczenia? Kto ma ustalać znaczenie wyrażań istnieniowych, które naukowiec bierze za punkt wyjścia swoich badań, odróżniając przedmioty istniejące od nieistniejących? Nie jest też prawdą, jakoby nauki zajmowały się samymi danymi spostrzeżeniowymi. Zdanie np. „istnieje środek ziemi“ nie jest oparte na danych spostrzeżeniowych, a jednak trudno je wyłączyć ze zbioru zdań naukowych.

Słowem, sprawa nie jest taka prosta i należałoby raczej pójść za głosem zdrowego rozsądku, uznając istnienie za zjawisko doświadczalne, choć może nie eksperymentalne tzn. nie zależne od naszej woli. Trudność zaliczenia istnienia do zjawisk badanych przez naukę płynie — jak sądzę — nie z wątpliwości co do doświadczalności faktu istnienia, lecz z braku odpowiednich narzędzi pojęciowych do uporządkowania tak powszechnego zbioru zjawisk. Wszystkie nauki bowiem opierają się na logice ogólnej, niektóre ponadto na matematyce. Otóż ani logika ogólna ani matematyka nie podaje ogólnej teorii istnienia. Logika — przynajmniej w ujęciu tradycyjnym — jest tylko teorią zdań prawdziwych, matematyka zaś teorią liczenia. Gdybyśmy mieli teorię istnienia, włączoną do zasad logiki ogólnej, moglibyśmy rozszerzyć znacznie dalej pole naukowego widzenia, sięgając do danych nieuchwytnych w żaden sposób zmysłowo, co zresztą już widzimy w pewnej mierze na polu osiągnięć matematyczno-fizykalnych (model atomu). Niedostrzegalność Boga w obrazie zmysłowym nie byłaby wtedy przeszkodą do naukowego uzasadnienia i rozwinięcia teizmu.

I tutaj dochodzimy do drugiego punktu zagadnienia, który musimy wyjaśnić, jeśli chcemy rozstrzygnąć poznawczą wartość zdania o Bogu, mianowicie do sprawy granic i warunków racjonalności, na której opiera się nauka.

O granicach i warunkach naukowej racjonalności.

Granicznym punktem wyjściowym nauki jest spostrzeżenie lub — według nowszego ujęcia — wszelka dana świadomości. Tego punktu nikt zaprzeczyć nie może bez popadnięcia w teoretyczny nihilizm. Nazwijmy to dolną granicą racjonalności naukowej. Posuwając się w myśleniu dalej, zrywamy coraz bardziej bezpośrednią łączność ze zjawiskiem i wkraczamy w krainę pomysłów. Zachodzi teraz pytanie, czy istnieje granica racjonalności pomysłów, którą moglibyśmy nazwać górną granicą racjonalności? Otóż nie ulega wątpliwości, że górna granica ujemna istnieje. Jest nią niedorzeczność lub urojenie¹⁾. Co do granicy dodatniej, ta sprawa nie jest jeszcze rozstrzygnięta jednoznacznie. Znać tu jeszcze wpływ Kanta, który wszelkie oderwanie się od danych spostrzeżeniowych uważa za fikcję, nazwane ideami, które czasem stają się użyteczne zwłaszcza ze względów praktycznych. Podobnym duchem tętnią prace współczesnych neopozytywistów, wychowanych w kręgu tzw. Koła Wiedeńskiego (Schlick, Carnap)²⁾. Jest to niewątpliwie stanowisko minimalistyczne i dlatego można się spodziewać, że nauka nie zatrzyma się na granicy wskazanej przez krytycyzm kantowski i pozytywizm. Potwierdzeniem tej nadziei jest fakt, że do dziedziny tzw. nauk ścisłych coraz bardziej wciskają się rozważania o niewątpliwym posmaku filozoficznym, a jeszcze bardziej to, co się dzieje w zakresie logiki zarówno matematycznej jak i ogólnej. Jesteśmy mianowicie w przededniu powstania ogólnej teorii istnienia o precyzji myślowej równej obliczeniom matematycznym. I dlatego dalsze nasze rozważania będziemy opierać na pomysłach i zasadach myślenia, do których doszli już teoretycy logiki matematycznej.

Otóż zdaje mi się, że w ramach logiki matematycznej można znaleźć podstawy do mówienia o granicach i warunkach naukowej racjonalności, nie zacieśniając się do punktu wyjścia. Taką mianowicie granicę upatruję w racjonalnej zupełności myślenia. Obecnie pojęcie to stosuje się do ilości

¹⁾ Niedorzecznością nazywamy zespół dwóch zdań sprzecznych równie uzasadnionych, urojeniem zaś zdanie nie wynikające z żadnych danych racjonalnie uznanych.

²⁾ Por. K. Ajdukiewicz, *O tzw. neopozytywizmie. Myśl współczesna*, 1946, nr 6-7.

aksjomatów, mówi się mianowicie o zupełnym i niezupełnym układzie aksjomatów dedukcji zdaniowej¹⁾. Uogólniając tę problematykę, możemy pojęcie logicznej zupełności zastosować do myślenia w ogóle i mówić o myśleniu logicznie zupełnym albo niezupełnym. Wyjaśnimy to na przykładzie. Mając np. dwie różne liczby 2 i 3, możemy zastanawiać się, ile możemy z nich otrzymać różnych układów parzystych. Jeśli ktoś wymieni układ 23, możemy zauważyć, że to nie jest wszystko, bo można wymienić układ 32. Kto inny może się zastanawiać, czy dopuszczalny jest układ 22 i 33, uwzględniając przyjęte warunki układania.

Na tle tego przykładu spróbujmy teraz określić pojęcie myślowej zupełności. Otóż *myśleniem racjonalnie zupełnym nazywamy myślenie, które uwzględnia każde możliwe położenie myślowe zasadniczo różne, wynikające bądź z przyjętych poprzednio założeń (system względnie zupełny), bądź z logiki samorzutnego myślenia (system bezwzględnie zupełny)*.

Sądzę, że po wyjaśnieniu, co rozumiemy przez zupełność myślenia, nie potrzebujemy udowadniać zdania, uznającego zupełność myślenia za górną dodatnią granicę racjonalności. Dowód bowiem jest zawarty w samym określeniu. Skoro myśląc osiągamy pełnię wszystkich możliwości myślowych, myślenie nasze „zatrzymuje się“, dochodzimy do granicy. Osiągniemy ją zawsze, strzegąc się niedorzeczności i urojeń oraz myśląc do końca.

Jak widzimy, granice naukowej racjonalności mogą być zakreślone znacznie dalej, niż to robi się dzisiaj. Pozostaje tylko jedna sprawa do wyjaśnienia. Powiedzieliśmy przed chwilą, że idąc ku pełni myślenia, musimy się strzec niedorzeczności i urojeń, którym możemy ulec już w samym punkcie wyjścia. Jak przed tym zabezpiecza się nauka?

Z metodologii naukowego myślenia wiadomo, że nauka drogę do prawdy toruje sobie i zabezpiecza przez oparcie się o zasady logicznego myślenia w ujęciu ogólnym lub matematycznym. W naukowym bowiem opisie rzeczywistości chodzi o uporządkowanie zjawisk, teorią zaś porządkowania myślowego

¹⁾ Zupełnym układem aksjomatów nazywamy układ, z którego dają się wyprowadzić wszystkie zdania uznane, należące do aksjomatyzowanego systemu. Por. Z. Zawirski, *Logika teoretyczna*, str. 66.

jest logika ogólna i matematyka. Dlatego można powiedzieć, że podstawą myślenia naukowego jest logika ogólna lub matematyka.

Otóż badając warunki uporządkowanego myślenia logicy współcześni doszli do następujących wniosków, które musi uwzględnić każdy, kto chce budować układy myślowe logicznie uporządkowane.

Po pierwsze: W każdym uporządkowanym układzie zdań istnieją zdania pierwsze.

Po drugie: Najlepiej uporządkowanym układem pojęciowym jest układ zdań zaksjomatyzowany, to znaczy układ, w którym zdania pierwsze są ujawnione.

Po trzecie: Układ jest zaksjomatyzowany poprawnie, jeżeli zbiór jego aksjomatów jest niesprzeczny, zupełny i nieupraszczalny¹⁾.

I tych zasad będziemy się trzymać w ocenie racjonalności teizmu.

Teizm jako teoria istnienia.

Teizm czyli pogląd, uznający istnienie osobowego Boga nie utożsamianego ze wszechświatem, jest jedną z teorii istnienia jako podstawowej wartości zjawisk²⁾. Jego strukturę pojęciową można ująć w następujący schemat, który nazwijmy wykresem istnienia (rys. 1).

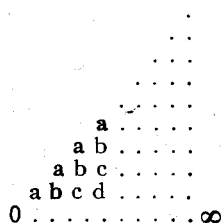
Wyjaśnijmy najprzód poszczególne znaki wykresu.

Znak 0 (zero) jest znakiem wartości bezwzględnie ujemnej, którą potocznie wyrażamy zwrotem „nie ma nic”. Bezwzględ-

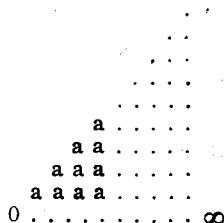
¹⁾ Por. Jan Łukasiewicz, *Elementy logiki matematycznej* (skrypt autoryzowany); także Z. Zawirski, *Logika teoretyczna*. Zwróćmy uwagę na to, że w ramach logiki formalnej aksjomaty nie wymagają jakiegś wyróżnionej treści, mogą być treściowo nieprzejrzyste i nieoczywiste, byleby spełniały formalnie rolę pierwszych tez. W myśleniu formalno-rzeczowym, jakim jest nauka, sprawa wygląda inaczej. Tutaj punktem wyjścia nie może być zdanie umowne, jak w logice formalnej, lecz zdanie rzeczywiste, a więc i treściowo pierwsze. Dlatego aksjomaty nauk realnych muszą być jednocześnie pewnikami czyli zdaniami oczywistymi.

²⁾ Istnienie można rozpatrywać jako treść i wtedy ma cechy ogłędu, co widać choćby stąd, że nie daje się wyjaśnić przez coś znaczeniowo wcześniejszego — lub też można je rozpatrywać jako wartość. W pierwszym przypadku skazani jesteśmy na intuicję, jakie każdy z nas wiąże ze słowem „jest”, „istnieje”. W drugim możemy porozumieć się jednoznacznie przez wskazanie teorii wartości, na której opieramy swoje wypowiedzi istnieniowe. Jeśli ktoś odrzuca jedną teorię wartości, musi zbudować inną, nie mniej zupełną i logiczną od odrzuconej.

ność istnieniowego zera czyli nicości możemy uchwycić w następującym zdaniu: nie nigdy nie może być czymś. Znak przeciwny ∞ wyraża istnieniową nieskończoność. Logicznie jest to pozycja bezwzględnie dodatnia, co możemy wyrazić w zdaniu: „jest i nie może nie być”. Kropki między 0 a ∞ mają wyrażać możliwe pozycje względne. Jak wynika z pojęcia



rys. 1



rys. 2

względności, jest ich ilość nieograniczona¹⁾. Litery a, b, c, d są znakami treści, stanowiących daną pozycję względną. Umieszczenie litery w miejscu którejś kropki oznacza przypisanie jej względnej wartości istnieniowej. Poziome układy liter stanowią linię istnienia, pionowe linię treści. Idąc po linii poziomej, czytamy: jest a, jest b, jest c, itd. Biorąc litery w linii pionowej, określamy jej treść, odczytując pion, wznoszący się nad daną literą. Tak np. chcąc określić b jako drugą pozycję ciągu a, b, c, d (w linii poziomej), trzeba uwzględnić a, które stoi przed b, co wykresowo zaznaczamy, pisząc a nad b (linia pionowa); chcąc zaś określić c, trzeba uwzględnić już a i b (wykresowo b i a nad c) itd. W ten sposób treści nawarstwiają się pionowo, posuwając się coraz dłuższą linią ku nieskończoności²⁾. Następstwo liter, zarówno istnieniowe jak i treściowe,

1) Uprawiającego filozofię wartości uderza przykro fakt ciągłego mieszanina przez matematyków pojęcia bezgraniczności z pojęciem nieskończoności. Tak np. istnieją tylko ciągi bezgraniczne, nie ma zaś ciągów nieskończonych, gdyż nieskończoność nie może być ciągiem, ani żadną w ogóle mnogością. Tym niedokładnym używaniem terminów można tłumaczyć to, że dotychczas matematycy nie czują potrzeby wprowadzenia nieskończoności jako liczby analogicznej do zera, zadowalając się nieskończonością w znaczeniu bezgraniczności.

2) Nawarstwianie się treści zachodzi rzecz jasna tylko przy założeniu, że układy liter są treściowo ciągłe, to znaczy, że b uważamy za treściowe następstwo a, c za treściowe następstwo b itd. Wtedy każda pozycja następna, zależna treściowo od poprzedniej, dziedziczy treść poprzedniej, dodając do niej treść, która ją wyróżnia spośród innych. Przy czym jasne jest, że treść myślowo pierwsza zachowa to pierwszeństwo w całym układzie, tworząc ostatnią przekątną trójkątą liter (na wykresie linia a). Jeśli szereg istnieniowy (pozioma dolna linia) jest

jest myślowo niedowracalne bez zmiany rodzaju zależności w układzie liter. Służy to nam za podstawę wyodrębnienia dwóch wartości względnych: dodatniej i ujemnej. Ogniwa ciągu traktujemy dodatnio, idąc w kierunku postępowym, tzn. od zera do nieskończoności. Te same ogniwa ciągu traktujemy ujemnie, idąc w kierunku przeciwnym, wstecznym tzn. od nieskończoności do zera. Tak np. ten sam punkt, w którym jest c , dla c przedstawia wartość dodatnią (c jest), dla d zaś wartość ujemną (d nie ma). Stąd wyprowadzamy pojęcie względności, które uzasadnia prawo względności, głoszące, że żadna pozycja układu względnego nie jest bezwzględnie konieczna (może być, może nie być)¹⁾. Linie istnienia i linie treści tworzą razem trójkąt układu względnego, w którym mamy zamknięte wszystkie wartości istnieniowe względnie rzeczywiste i możliwe. Ponieważ trójkąt układu względnego daje się traktować jako odrębna myślowa całość, oznaczmy go osobnym znakiem, mianowicie M , którego w żadnym wypadku nie można mieszać ze znakami 0 i ∞ . Są to bowiem znaki pozycji bezwzględnych nie należących do układu względnego.

Spójrzmy teraz na całość naszego wykresu istnienia i zestawmy krótko jego „logikę“.

Mamy trzy zasadnicze sytuacje myślowe: układ M , który jest obrazem każdego układu względnego o dowolnych zasadach porządkowania, zero jako dolną granicę M i nieskończoność jako górną granicę M . Jak wynika z pojęcia względności, w ramach M nie ma pozycji bezwzględnie pierwszej ani bezwzględnie ostatniej. Między zerem a nieskończonością może być względnych istnień o dowolnej treści dowolnie wiele. Ni-

jednotreściowy, jak na rys. 2, to cały układ ma jedną treść (na wykresie a). Takim ciągiem tylko istnieniowym jest szereg wyrazów: ojciec, syn, wnuk, prawnuk, których treścią jest „człowiek“ (człowiek 1, człowiek 2, człowiek 3, człowiek 4). Natomiast ciągiem tylko treściowym jest tzw. drzewo Porfiriusza, znane z podręczników logiki tradycyjnej (byt, substancja, istota żywa, czująca, myśląca, Piotr).

¹⁾ Na tej zasadzie opiera się pogląd arystotelesowsko-tomistyczny o nierealności zła jako takiego. Zło jest tylko brakiem dobra, czyli wartością względnie ujemną. Zauważmy też, że w matematyce, opartej na rozpatrywaniu wykresu wartości, nie byłoby liczb mniejszych od zera, — np. nie oznaczałoby liczby mniejszej od zera, lecz zniesienie $+1$, brak jednego. Nie byłoby też miejsca na pojęcie $-\infty$ jako różnego od ∞ , nieskończoność bowiem w naszym układzie nie reaguje na znaki względne, co zresztą przy głębszej analizie można powiedzieć i o dzisiejszym pojęciu matematycznej nieskończoności.

gdy jednak nie przekroczą one bezwzględnych granic istnienia tj. nieskończoności i zera, zarówno istnieniowo jak i treściowo. Cofając się wstecz po linii istnienia, treść znika razem z istnieniem, nie przekraczając linii zera. Idąc do góry, treść wzbogaca się coraz bardziej (w teorii bezgranicznie), dążąc do pozycji treściowo najbogatszej, nigdy jednak nie przekroczy linii nieskończoności, ponieważ żadna pozycja względna nie może osiągnąć nieskończoności na linii istnienia (pozioma)¹⁾.

Oto zewnętrzne ramy istnienia, ujęte w podstawowy zarys. Zbadajmy teraz ich logikę wewnętrzną, mając przed oczyma zasady porządkowania logicznego, które podaliśmy na stronie 35-ej.

Przede wszystkim łatwo jest stwierdzić, że wykres nasz jest układem pojęć myślowo niesprzecznym. Sprzeczność bowiem może dotyczyć tylko układów względnych. Otóż tutaj nie przeprowadzamy rozbioru żadnego układu względnego. M przyjmujemy jako dowolnie porządkowaną całość myślową, różną od 0 i ∞ ²⁾, i stosujemy do niej logikę powszechnie dziś uznaną tzw. logikę wartości względnych.

Stwierdzamy po wtóre, że nasz wykres istnienia jest układem myślowo zupełnym. Możemy to wykazać zarówno *a posteriori* jak i *a priori*.

¹⁾ Nieskończoność można więc określić jako tożsamość istnienia i treści, w niej bowiem zbiega się pionowa linia treści z poziomą istnienia, nie znosząc ani treści ani istnienia zgodnie z prawami czytania wykresu. Treścią nieskończoności — mówiąc inaczej — jest to, że jest. Daje to w wyniku pozycję najbogatszą w treść, najbogatsze indywiduum, istotną rzeczywistość. Lecz przez to samo wyłącza się ją ze zbioru pozycji względnych, w których nie ma pozycji treściowo najbogatszej. Warto tu zwrócić uwagę na definicję Boga, podaną przez Mojżesza jako objawioną (Wj 3, 14): *Jam jest, który jest*. Cokolwiek by się nie powiedziało o jej nadprzyrodzonym pochodzeniu, to musi wszystkich uderzyć, że wypowiedziano ją około dwóch tysięcy lat przed Chrystusem w warunkach kulturalnych znacznie pierwotniejszych od naszych.

²⁾ Sprzeczności naszego układu może ktoś dopatrzeć się w zestawieniu dwóch wartości bezwzględnych o znakach przeciwnych. Otóż trzeba pamiętać, że przeciwstawność zera i nieskończoności jest też bezwzględna. Dlatego też mimo że nieskończoność ma wartość dodatnią, zero ujemną, wartości te nie znoszą się wzajemnie, bo jako bezwzględne nie reagują na siebie. Zeby to uchwycić, trzeba się wyzwolić z myślenia wartościami względnymi. Zero i nieskończoność są wzajemnymi refleksami. Wyróżniając myślowo wartość dodatnią, wyróżniamy tym samym nieskończoność jako wartość pierwotną. Przez to jednak nie tworzymy żadnego przeciwstawienia realnego, bo zero jako symbol nicości jest zawsze nieczym. Choć więc logicznie konieczne jest jak Bóg, nie obala Jego istnienia. Jest zawsze zerem.

Dowód *a posteriori* (rozbiór danych): zestawiamy wszystkie używane w mowie zwroty istnieniowe względne, jak „jest, ale nie było“, „nie ma, ale będzie“, „był, ale nie ma“, „był-by“, „może być“, itd. oraz zwroty bezwzględne „jest i nie może nie być“, „nie ma nic“; następnie wykazujemy, że każdy z nich ma swoje miejsce na naszym wykresie — wszystkie zwroty względne zawierają się w M, wszystkie zaś bezwzględne pokrywają się bądź z zerem, bądź z nieskończonością.

Dowód *a priori* (rozbiór myślenia): biorąc za punkt wyjścia sens słowa „być“ i rozwijając całą spontaniczność myślenia, nie potrafimy wskazać żadnej odmiany pojęciowej słowa „być“, która by nie była uwzględniona na naszym wykresie ¹⁾.

Pozostaje trzecie pytanie: czy nasza teoria istnienia nie daje się uprościć. Lub innymi słowy: czy któraś pozycja naszego wykresu nie daje się sprowadzić myślowo do innej na tymże wykresie?

Odpowiadamy twierdząco. Możemy mianowicie M sprowadzić myślowo do 0 i ∞ , tworząc tzw. wzór rzeczywistości w postaci:

$$M = f(0, \infty)$$

który czytamy: „M jest pochodną zera i nieskończoności“ ²⁾.

Przypatrując się bliżej wzorowi, dochodzimy do wniosku, że takie uproszczenie rzeczywistości nie tylko jest dozwolone, lecz owszem narzuca się siłą znaczenia poszczególnych skład-

¹⁾ Jest to więc tzw. dowód efektywny, stosowany w zagadnieniach logicznej zupełności, związanych z kombinatorką ilościową. Pozostaje w mocy dowodowej tak długo, jak długo ktoś nie wykaże niezupełności danego układu.

²⁾ Wzór nasz odpowiada tezie teologicznej: „Bóg stworzył świat z niczego“. Zależność M od zera i nieskończoności podajemy w postaci ogólnej, nie precyzując funkcji, którą tworzą. Przy bliższej analizie można wykazać, że M ma się do zera i nieskończoności, jak poprzednik do następnika w warunkowym związku zdań (implikacji, u Łukasiewicza C), co w odwrotnym kierunku daje związek przyczynowy, zero zaś i nieskończoność stanowią koniunkcję czyli związek łączny (u Łukasiewicza K). Wchodzimy jednak już w zagadnienia, które nawet w logistyce nie są jeszcze wyjaśnione (intuicyjny sens odwrócenia implikacji). Dlatego wolimy poprzestać na ogólnym stwierdzeniu zależności M, która odpowiada zależności tezy dowodzonej od niedowodzonych aksjomatów, w naszym przypadku od zera i nieskończoności. Podkreślamy więc raczej inferencyjny, niż implikacyjny charakter zależności M. Podstawą wyprowadzalności M z zera i nieskończoności jest samo znaczenie terminów, mamy więc tu do czynienia z aksjomatem, który jest jednocześnie dyrektywą czyli regułą wnioskowania, co odpowiada twierdzeniu teologicznemu, że istnienie Boga jest identyczne z Jego działaniem.

ników wzoru. Układ bowiem M znamionuje się orzeczeniem „może być, może nie być”. Zatem nie ma w sobie znaczeniowej racji istnienia i musi być sprowadzony do innej racji. Ponieważ innego układu bezwzględnego poza M nie ma z założenia (M bowiem jest symbolem wszystkich układów względnych), pozostają jako racje jedynie pozycje bezwzględne. A tych z założenia uprościć nie można, trzeba je przyjąć obie.

W ten sposób dochodzimy do dwóch aksjomatów rzeczywistości: zera i nieskończoności, które wybieramy nie umownie, lecz siłą znaczenia, jakie im przypisujemy.

Oto nasza teoria istnienia. Biorąc teraz M za „świat”, 0 za „nicość”, ∞ za „Bóg”, otrzymujemy zaksjomatyzowaną teorię rzeczywistości, którą głosi teizm w ujęciu katolickim. Jest ona — jak staraliśmy się wykazać — niesprzeczna, myślowo zupełna i w zakresie aksjomatów nieuprzedzająca. Z wykresu istnienia (rys. 1) oraz z wzoru rzeczywistości Czytelnik sam już wysnuje całą filozofię teizmu, na którą tutaj nie mamy miejsca ¹⁾.

Teizm, ateizm i nauka.

Rozważania swoje nazwaliśmy próbą naukowego sformułowania teizmu. Jeśli ktoś uzna ją za udaną, musi zgodzić się na następujące wnioski:

1) Zwróćmy uwagę przynajmniej na dwa najważniejsze punkty teorii: na istnieniową wartość Boga oraz na sprawę Jego osobowości. Z wzoru $M = f(0, \infty)$ wynika, że wartość istnieniowa nieskończoności czyli Boga nie może być mniej realna od wartości istnieniowej M czyli świata. Chcąc więc określić istnieniową wartość Boga, trzeba ustalić istnieniową wartość świata. Jeśli świat jest ideą czy złudzeniem, to i Bóg nie musi być czymś więcej. Jeśli natomiast świat jest jakoś rzeczywisty, to Bóg nie może być mniej rzeczywisty, owszem musi być więcej rzeczywisty jako aksjomat czyli — ontologicznie — jako przyczyna świata. Trzeba zauważyć, że sam wzór nie dowodzi realności Boga, lecz określa tylko Jego sens. Ale przypisanie we wzorze jakiejś wartości światu, pociąga za sobą przypisanie odpowiedniej wartości Bogu. I dlatego wzór nasz łącznie z doświadczeniem, które ustala wartości istnieniowe, jest dowodem na istnienie Boga. Zagadnienie, czy Bóg jest osobowością czy nie, rozstrzygamy na podstawie naszego wzoru w ten sposób. Bóg jest granicą nie tylko istnienia, ale i treści. Jeśli więc w świecie względnym występuje osobowość jako treść, to Bóg nie może być pozycją treściową niższą od pozycji osobowej. Czy jest osobą? Właściwie nie, o ile przez osobę rozumiemy treść względną (np. osoba ludzka, a nie kamień). Zawierając w sobie treść osobowości, Bóg jest czymś więcej niż osobą. Jest granicą każdej osobowości i treściowo i istnieniowo, tzn. że nad Niego nie ma i nie może być nic większego ani treściowo ani istnieniowo. Jak widzimy, we filozofii istnienia, która

a) tylko w ramach teizmu można wytłumaczyć rozumowo rzeczywistość, gdyż tylko teizm uwzględnia granice istnienia,

b) z punktu widzenia logicznego teizm jest systemem logiki wielowartościowej (dowolna ilość wartości względnych i dwie wartości bezwzględne), każde więc odrzucenie którejś z jego wartości prowadzi do systemu logicznie uboższego,

c) ateizm jest systemem logicznie niezupełnym, gdyż musi odrzucić pojęcie nieskończoności jako pozycji istnieniowej różnej od M,

d) odrzucając dodatnią granicę istnienia, ateizm nie tłumaczy świata, tylko go stwierdza; tym wyjaśnić można uprzywilejowanie myślenia historycznego u marksistów,

e) ateizm materialistyczny w świetle naszych rozważań przedstawia się jako niezaksjomatyzowana teoria istnienia, ponieważ nie może wskazać pierwszej pozycji istnieniowej. W żadnym bowiem układzie względnym nie ma i nie może być pozycji bezwzględnie pierwszej. A badając materię, mamy zawsze do czynienia z układami względnymi. Toteż każdy układ energii materialnej może być co najwyżej granicą innego układu względnego, ale nie może być granicą rzeczywistości. Wszelkie poszukiwanie dodatniej granicy rzeczywistości prowadzi do pozycji bezwzględnie dodatniej czyli do ∞ .

Czy istotnie wnioski nasze są naukowe?

Jeśli zgodzimy się na proponowane tutaj i — jak się wydaje — uzasadnione rozszerzenie ram naukowej racjonalności, wnioski nasze będą miały moc naukową. To, że dziś nauka trzyma się w rezerwie wobec podstawowego zjawiska, jakim jest istnienie, nie przesądza jeszcze, że tak będzie zawsze. Zdajemy sobie sprawę, że budowanie naukowej teorii istnienia rozsądza ramy dzisiejszej nauki i obala przegrody dzielące ją od filozofii. Stajemy wtedy wobec oczywistego faktu jedności przyrodzonej wiedzy. Sądzę jednak, że taki wynik nie powinien nikogo przerażać. Bo — jak już powiedział starożytny mędrzec — dążenie do jedności jest duszą każdej mądrości.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

daje się wysnuć z rozpatrywanego wzoru rzeczywistości, łatwo można wskazać wszystkie podstawowe punkty arystotelesowsko-tomistycznej teologii.

Chrześcijańska miłość bliźniego i obozy koncentracyjne

Najtrudniejszym zagadnieniem dla wierzącego więźnia niemieckich obozów koncentracyjnych było bez wątpienia Chrystusowe przykazanie miłości bliźniego i to miłości nieprzyjaciół wraz z żądaniem nastawienia drugiego policzka, gdy biją w jeden.

Pytanie, czy ta miłość wyszła zwycięsko z próby, czy nie okazała się światłem z daleka świecącym i wartością nieżyjącową?... Sytuacja była właśnie ta, którą nakreślił Chrystus Pan: odebrano całe ubranie, a dano łachmany, bito w twarz, kopano, lżono, znęcano się.

Możliwości rozwiązania tych prób były różne: a najpierw naturalna reakcja usposobienia śmiałego, odczuwającego żywo osobistą godność, lub też ludzi, którzy z rozpaczą szukali takiego wyjścia.

P. Kossak opisuje (*Z otchłani*, s. 105) wypadek młodej żydówki z Sosnowca, która głośnego kata i mordercę oświecimskiego Schillingera zastrzeliła własnym jego rewolwerem wyrwanym mu zza pasa. Jasna rzecz, że czyn ten szalony zapłaciła natychmiastowym załuczeniem i zdeptaniem na śmierć. Przeciw takiej reakcji bronił każdego więźnia popęd samochowawczy, beznadziejność tego kroku i świadomość, że się przez to naraża innych więźniów na straszliwe represje. Takie rozpaczliwe wyładowania gniewu i zemsty zdarzały się w obozach wyjątkowo i sporadycznie, gdyż rzucanie się bezbronnego i słabego na uzbrojonego i mocnego było zbyt wielkim szaleństwem, tak że zraniona godność osobista sięgała do tej ostateczności bardzo rzadko.

Drugie wyjście już o wiele częstsze, to zaciśnięcie zębów, tłumiona wściekłość, przyczajenie się zwierzęcia osaczonego a bezbronnego. Ssmani w niejednym oku widzieli tę na zewnątrz zamaskowaną wściekłość i wtedy łamali ją bezlitosnym biciem, kopaniem i innymi złośliwymi szykanami.

Natury tchórzliwe chętnie by lizały dłoń wroga i próbowały ułagodzić go różnymi upodlającymi srodeczkami, byle się wkraść w łaski i uniknąć ciosu. Tacy awansowali na kapo tj. przełożonych kolumny roboczej i powoli bardzo często sami stawali się katami współwięźniów.

Wszyscy więźniowie stawali wobec zagadnienia: czy idąc za instynktem a raczej popędem samozachowawczym stać się powoli drapieżnym i bezwzględnym zwierzęciem, które podepcze innych, byle siebie zachować, czy też pójść drogą, którą wskazuje wiara.

Z tych pierwszych bardzo często po załamaniu się pod wpływem głodu i zimna oraz całego systemu poniżania fizycznego i moralnego przez ssmanów wychodzili tzw. mużulmani, którzy odnosili się do wszystkiego tak złego jak i dobrego z rozpaczliwą obojętnością. Zachowywali tylko wrażliwość na głód i zimno a reszta nic ich nie obchodziła. Taki nie posiadał już ani wstydu ani poczucia moralnego. Tępe, apatyczne rysy były sygnałem, że taki mużulmanin długo nie pociągnie i wnet go wykończy albo rewir, więc barak szpitalny albo krematorium. Widok tych złamanych jednostek był radością dla Niemców większą niż widok trupów i to był triumf obozów i odwet straszliwy. Odebrać wstyd i godność, to było zadaniem zasadniczym „wychowania“ hitlerowskiego w stosunku do ujarzmionych narodowości.

Czy tedy prawdziwe są słowa Morcinka (*Dziewczyna z Champs Elysées*, s. 121), że „w obozie nie było dla pokory miejsca. W obozie było miejsce tylko dla tych, co umieli przepychać się łokciami, co mieli twarde serce, którzy umieli posługiwać się językiem również twardym, bez cienia litości. W obozie utrzymywał się tylko ten, który swym postępowaniem potwierdzał prawdziwość teorii Darwina o prawie mocnych. Na wielkopański zbytek litości czy w ogóle miłości chrześcijańskiej mógł sobie pozwalać jedynie ten, kto był sam świętym i jako święty ginął, lub komu jego pozycja w obozie na

to pozwalala". Przykładem takiego świętego opisanego przez Morcinka jest O. Kolbe (tamże, str. 1—22).

Co tedy począć z przykazaniem Chrystusa dla wszystkich a nie tylko dla heroicznej świętości O. Kolbego i wielu innych, by miłować nieprzyjaciół, modlić się za prześladowających, dobrze czynić tym, którzy nas nienawidzą (Mt. 5, 44; Łk. 6, 27). Miał-żeby popęd samozachowawczy być tak przemożny, że tylko wyjątki zdawały egzamin dojrzałości chrześcijańskiej, a natura stale zwyciężała łaskę?

Twierdzenie, jakoby między więźniami prawo walki o byt, prawo pięści i siły zawsze było górą, jest wprost nieprawdziwe, gdyż większość pomagała sobie wzajemnie przy tzw. „organizowaniu“, przy ratowaniu skatowanych, o ile to było możliwe, przez podnoszenie na duchu tych, którzy się załamywali itp. Wystarczy przeglądnąć cały szereg pamiętników z obozów koncentracyjnych, by się o tym przekonać. Wyjątkowo zezwierzone natury, lub ci, którzy spadli do rzędu „muzułmanów“ i stracili wszelkie poczucie godności, a więc wyrzekli się walki o swe człowieczeństwo, mogliby posłużyć jako ilustrację zasad wziętych ze świata zwierząt, i to jeszcze niezupełnie, gdyż w tym świecie prawo walki o byt i silniejszego nie jest jedyne i dominujące. Równoległe idzie prawo współdziałania i współżycia, ochrony wzajemnej przed silniejszym drapieżcą.

Jakie miał wierzący chrześcijanin wartości w swej religii, które go chroniły od duchowej prostracji?

A najpierw więzień, przyjmujący wszystkie udręki jako dopust Boży, mógł je znieść z rezygnacją i stoczyć cichy i tajemny bój o duszę własną, zdając sobie sprawę z prawdziwości słów Chrystusowych, by się nie bać tych, którzy zabijają ciało, ale raczej tego, który i duszę i ciało może zatracić. Zwyciężyć zło w dobrem, to największe zwycięstwo. Tylko chrześcijanin widzi swój triumf niegінący nigdy, jeśli przez tę rezygnację wznosi się na wyżyny heroicznej cierpliwości i zemstę zostawia Bogu tam, gdzie się obronić nie może lub mu nie wolno. W tej cierpliwości bez mściwych myśli i dobrowolnych uczuć nie ginie, jasna rzecz, ani ból fizyczny ani moralny z powodu po-deptania osobistej godności, ani poczucie doznanej krzywdy: owszem organizm fizyczny i moralny im delikatniejszy, tym ten ból jest większy i głębszy. Nie ma ten spokój nic wspól-

nego z apatią ani ze stoicką cierpliwością, która jak wiadomo miała być zimna i pełna pogardy dla wroga i wyższa ponad wszelkie dokuczliwości, co wszystko razem wzięte jest normalną pychą, która w swej bezsilności nie znajduje innego środka, gdyż na natychmiastową zemstę jest za słaba, a na upodlenie się w unізianiu znów za mocna. Naturalne odruchy mściwości, niechęci i nienawiści, budzące się równie dobrze u chrześcijanina, częściowo są stłumione i wyparte, a w większej części sublimowane, uwzniośnione, tj. ich siła przechodzi w coś wyższego i wznioślejszego, jak litość nad zaciekłym wrogiem, który w pojęciu chrześcijańskim szkodzi swej duszy więcej niż dokuczy ofierze; siła ta idzie też w górę w chęci okazania Bogu wytrzymałości, wierności i zatopienia się w Nim, który każdą taką sytuację rozwiąże skutecznie, jeśli nie w czasie, to na pewno w wieczności. Wiara daje tedy, jak się wyraził św. Paweł, puklerz mocny i pancerz duchowy, tak że pociski wroga zamieniają się w dobra etyczne wysokiej wartości. Finałem tego procesu jest wewnętrzna radość i w tym stadium jest jad duchowy nienawiści i zemsty przez miłość unieszkodliwiony i pochłonięty. Jest to tedy rezygnacja nie bierna lecz twórcza, wymagająca wielkiego wysiłku duchowego i pracy wewnętrznej.

Słusznie pisze Z. Kossak (*Z otchłani*, str. 180), że obóz był szkodliwszy dla tych, którzy nim rządzą, niż dla uwięzionych, gdyż był hodowlą katów i zemsta w postaci takich samych obozów dla Niemców byłaby nie siłą lecz słabością. Dlatego Bereza była hańbą, która bardziej splamiła ówczesny rząd niż przegrana wojna i wszystkie inne błędy polityczne.

I tu powstaje nowe zagadnienie: czy uzasadnione jest Mickiewiczowskie zdanie z *Dziadów*: „zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem, a choćby mimo Boga“.

Konrad w *Dziadach* jest uosobieniem całego skrzywdzonego narodu i państwa i dlatego raczej trzeba myśleć o sprawiedliwej karze na krzywdzicieli niż o zemście, a to są różne zupełnie sprawy i pojęcia. Każdy przebywający w obozie zdawał sobie z tego sprawę, że sprawcom fizycznym i moralnym tych nieludzkich katuszy należy się surowa kara, przeważnie kara śmierci, gdyż bezkarność byłaby podeptaniem wszelkich praw i niczym nieuzasadnioną słabością. Państwo i naród opie-

rają się głównie na sprawiedliwości i muszą jej pilnować, jednostki zaś na fundamencie sprawiedliwości realizują jako chrześcijanie miłość, naśladowując w tym Boga.

Dlatego powiedziałyby się: nie zemsta lecz kara i to zawsze z Bogiem, a nigdy bez Boga. Bóg rozbraja swych wrogów miłością, ale po jej wyczerpaniu wchodzi w swe prawa wieczna Jego sprawiedliwość, której następstwem są kary, nawet wieczne. Hitlerizm odrzucił wszelką miłość, gdyż w *Mein Kampf* Hitlera zaraz na pierwszych kartkach jest straszne zdanie, że Niemiec winien się wyzuć z wszelkich uczuć, zwłaszcza litości nad nieniemcami, z wyjątkiem nienawiści i że wszelkich przeciwników należy traktować brutalnie i bezwzględnie. Człowieka wyznającego fałszywą doktrynę można i powinno się próbować zwyciężyć miłością, doktryna przewrotna jako fałsz nie zasługuje na żadną litość i musi z korzeniami być wycięta. Wyznawcy jej, którzy tego nie rozumieją, zginą razem z fałszem. Tak też zwyciężyło pierwotne chrześcijaństwo przez krew i ofiarę w męczeństwie i przez miłość błędy i fałsze starożytnego świata. Tołstojowskie niesprzeciwianie się złu nie ma z zasadami chrześcijańskimi nic wspólnego, gdyż wobec zła nie może być postawy biernej, lecz zło należy zwyciężać przez dobro, jak wyraźnie uczy św. Paweł (Rzym. 12, 21).

Przychodzi tu i inna prawda chrześcijańska wyrażona przez św. Pawła, by przez cierpienie uzupełniać to, co w nas niedostawa męce Chrystusowej, czyli idea współofiary i współodkupienia (Kol. 1, 24). Ołtarz ofiarny, całopalny, dorzucony do Męki Chrystusowej — to myśl wielka i fundamentalna dla chrześcijaństwa, która tłumaczy wiele cierpień i prześladowań niewinnych ludzi.

Nieprawdziwy w tym świetle jest Konrad w *Wyzwoleniu* Wyspiańskiego przeklinający krzyż, Chrystusa godło, o ileby to było odrzuceniem idei ofiary i zadośćuczynienia. Prawdziwy zaś jest, o ile przeciwstawia się Konrowi z *Dziadów* Mickiewicza, który cierpi za miliony i reprezentuje ideę Polski-Chrystusa narodów, gdyż do tego nikt i żaden naród nie ma prawa. Współuczestnictwo w Męce Chrystusowej i współofiara, to sprawa łaski i świętości chrześcijańskiej, a nie wybraństwo jakiegoś narodu jako całości do posłannictwa odkupienia innych narodów. Mielibyśmy tedy w cierpieniu obozowym myśl osobi-

stego przekształcenia i przepalenia na doskonałego chrześcijanina i myśl społeczną, że się spełnia posłannictwo współuczestniczenia w Męce Zbawiciela członków Kościoła dla zbawienia innych. Zła złem się nie zwycięży, nienawiścią nie usunie nienawiści, lecz tylko wzmocni.

Kto tych chrześcijańskich myśli nie potrafił w obozie pojąć i nie znalazł w nich siły, stawał się albo drapieżnym zwierzęciem, albo upadłym muzułmaninem, lub wreszcie trawił się sam nienawiścią i zemstą, dochodząc powoli do poziomu swych katów.

Nie ma tedy mowy o cierpiętnictwie bez glorii miłości: byłoby ono bez niej pozą, upadkiem, sponiewieraniem i kompleksem niższości, a nie urzeczywistnieniem aktywnym wielkiego ideału, który porywa i uszlachetnia.

Druga odpowiedź chrześcijańska na szykany obozowe sięga już heroizmu, oddającego za bolesne ciosy modlitwy za wroga. To już nie tylko spokojna rezygnacja i zgoda z wolą Bożą, ale coś większego. Jad nienawiści wprost przemienia się w słodycz miłości, tak jakby cios otwierał złożone w duszy cudowne skarby szlachetności najwyższej ceny. Jest to odpowiedź Boga z krzyża. I tych przykładów nie brakło, jakkolwiek są one już rzadsze. Typowym będzie zawsze zachowanie się O. Kolbego opisane tak cudownie przez Dobraczyńskiego w *Skąpcu Bożym* czy Morcinka w *Dziewczynie z Champs Elysées*.

Ks. prof. Władysław Wicher

Nasze przemiany

Jest dosyć oklepaną prawdą, iż Polska powojenna, Polska dzisiejsza nie jest bynajmniej identyczna z Polską lat trzydziestych. Przeżyliśmy zawieruchę, w wyniku której granice i punkt ciężkości państwa przesunęły się stosunkowo daleko ze wschodu na zachód. Przeżyliśmy reformy, które znacznie przeobraziły strukturę gospodarczą i społeczną kraju. Są ludzie, którym w związku z tym dzisiaj się wydaje, że nowa rzeczywistość całkowicie nową zwiastuje epokę; że przyszłość narodu innymi, niż przeszłość, potoczy się torami: że nade wszystko psychika polska innego nabierze wyrazu. Zastanówmy się przeto, ile jest istotnie w tych przewidywaniach prawdy.

Nie chcemy i nie jesteśmy bynajmniej już w stanie zaprzeczyć faktowi, że współczesna rzeczywistość na pierwszy rzut oka wydaje nam się inną, niż ta której odbicie przyzwyczailiśmy się widzieć w literaturze i dziełach ubiegłych pokoleń. Typy dekadenskie — typy, które chorują na przerost intelektu a zarazem niedostatek woli, w których przewrażliwienie nerwów ma ukryć niedojrzałość uczuć — owi Płoszowscy i Granowscy, od których tak roilo się w dobie Żeromszczyzny, wyjątkowo chyba znajdują odpowiednik w książkach lat ostatnich. Nie ulega też wątpliwości, iż nastrój ogólny jest inny zgoła, niż ten, który kraj cechował w okresie pomiędzy pierwszą a drugą wojną.

Ale z tego stwierdzenia nie wynika zupełnie, że ta zmiana jest rzeczywiście dogłębną i zasadniczą: że jest czymś więcej, niż zmianą oblicza lub zmianą nastroju: że społeczeństwo,

które wyszło z ostatnich wojennych zapasów okrwawione i zużożone, wycieńczone i rozgoryczone, nie jest we wszystkich odruchach tym samym społeczeństwem, którego wizerunek przekazała nam literatura Zygmunrowskiego czy Stanisławowskiego wieku, romantyzm czy też dla odmiany okres organicznej pracy.

Sam kult tradycji — kult, który w dzisiejszej postaci rodził się i rozwijał w miarę narastania nowych sił społecznych, kiedy to w okresie tak zwanej Drugiej Rzeczypospolitej w przeciwstawieniu do owej ideologii walk ze szlachetczyzną, podjętej w dobie powstań przez całą lewicę i nie tylko lewicę polskiej politycznej myśli, zaczęło odżywać w nowym społeczeństwie przywiązanie do szlacheckiej przecież przeszłości, a nawet do szlacheckich śmieszności i przesądów — sam kult ten, który pomimo deklamacji postępowych haseł coraz silniej nawet przedstawiciele tych haseł ogarnia, jest dla nas dowodem o niemałej sile, iż kraj czuje się dziś solidarny z całą swą przeszłością, iż uznaje się jednostką dzięki tej właśnie przeszłości odrębną pośród innych europejskich ludów.

I nie jest w tym wypadku rzeczą nader ważną, że z tej przeszłości wybierają ludzie zgodnie z wymaganiami własnych politycznych celów ten lub inny okres, jako szczególnie charakterystyczny dla naszych cywilizacyjnych danych, że głoszą się, przypuśćmy, spadkobiercami Piastów, gdy dla Jagiellonów mają uśmiech pełen ironii albo ukrytego żalu. Sama już skłonność odwoływania się stale do wzorów z przeszłości, choćby zupełnie dowolną a przedmiotowo fałszywą podsuwająca im rolę, dowodzi, że jakichkolwiek osobiście jesteśmy przekonani, jakkolwiek jest nasz stosunek do zmian ostatniej doby, czujemy się nade wszystko dziećmi ojców naszych, czujemy się przede wszystkim na wskroś Polakami. Jesteśmy nadal tak samo wybuchowi a rozproszeni wewnętrznie, tak samo ulegający chwilowym nastrojom a przecież w uczuciach zawzięci, tak samo skłonni brać marzenia za prawdę a jednocześnie podejrzliwi w praktycznej życiowej postawie, tak samo lekkomyślni i nietrwali w pracy a zdolni do jednorazowych, olbrzymich wysiłków, jak byli nasi przodkowie

dawno już przebrzmiałej ery. Cóż więc właściwie pod tym względem uległo w nas zmianie?

Powiedzieliśmy na wstępie, iż wojna ostatnia przesunęła punkt ciężkości państwa stosunkowo daleko na zachód. Warszawa została wprawdzie nadal stolicą, ale zupełnie odmienny jest dzisiaj stosunek jej odległości od wschodnich i zachodnich granic, niż był chociażby lat temu osiem, że już milczeniem zgoła pominiemy dawną, przedrozbiorową Polskę. W związku z tym przesunięciem pozostaje fakt, iż wpływ, którym w Polsce minionych pokoleń cieszyły się tak zwane żywioły kresowe — Polacy, pochodzący z ziem, co to w następstwie unii Jagiellońskiej stały się terenem narodowej cywilizacyjnej misji — dzisiaj zaczyna zanikać.

Do pionierskiej pracy w przemyśle i w dziedzinie gospodarki morskiej w związku z rozszerzeniem się naszego do morza dostępu i uzyskaniem wysoce uprzemysłowionego Śląska wziąć się muszą w pierwszym rzędzie ludzie z dotychczasowych zachodnich i środkowych województw: na nich też — przekonani jesteśmy — oprze się rozwój nowej morskiej i uprzemysłowionej Polski. Ludność dawnych kresów wschodnich przeważnie jeśli nie wyłącznie rolniczego typu, chociażby osiedlona nawet na ziemiach Odzyskanych, mogłaby w tym zadaniu odegrać w przyszłości dopiero poważniejszą, samodzielną rolę.

W związku z doświadczeniami i wojny ostatniej i w pewnej mierze całości naszych porozbiorowych losów pozostaje inna przemiana w nastrojach społeczeństwa bynajmniej nie zależna wyłącznie od chwilowego układu stosunków. Zwróciwszy całą swą uwagę na ekspansję wschodnią, w którym to dziele żywioł rdzenny polski wielką niewątpliwie od czasów św. Jacka Odrowąża, a w każdym razie od chwili wstąpienia na tron Kazimierza Wielkiego spełniał dziejową i cywilizacyjną misję, zapominaliśmy stopniowo, iż jesteśmy przede wszystkim środkowo-europejskim państwem. To zapomnienie nie było może naszą wyłącznie winą, nie wynikało w każdym razie z naszych świadomych skłonności. Uzyskawszy za pośrednictwem unii dynastycznej z Litwą olbrzymie przestrzenie, które należało zasiedlić i dla naszego rolnictwa zdobyć zachodnio-europejskie rynki, musieliśmy z konieczności samego układu stosunków, podjąć walkę o zabezpieczenie tego, cośmy już

nabyli, i w ten sposób wszystkie rozporządzalne siły, jakich wobec niskiej gęstości zaludnienia nie mieliśmy z pewnością za dużo, rzucić na dalekie wojenne wyprawy, na boje z Moskwą, Turcją i Tatarami, boje, które nie pozwoliły jednak ówczesnym pokoleniom pilnować bliższych środkowo-europejskich zagadnień. Że dawni Polacy umieli czasem odkryć niepokojącą nutę w zwycięskich, wojennych fanfarach, że odczuwali świadomie lub odruchowo niebezpieczeństwo tak pojętej, jednostronnie wschodniej polityki — tego dowodem niechęć królowej Jadwigi dla szerokich planów zdobywczych Witolda; tego wyrazem obawy Żółkiewskiego na widok wielkomocarstwowych fantazji Zygmunta Wazy: tego wreszcie w następstwach swoich tak złowrogim objawem nieufność olbrzymiej większości opinii szlacheckiej w stosunku do osoby Władysława IV i rad kanclerza Ossolińskiego. Ale wypadki i położenie rzeczy silniejsze były od ludzi. Rzeczpospolita prawem jakiegoś przemożnego politycznego bezwładu stale ciążyła ku wschodowi, gdy tymczasem stale narastające na jej zachodniej rubieży nowe zagadnienia, powstanie państwowości pruskiej i rozszerzenie się wpływów habsburskich na Węgry i Słowiańszczyznę zachodnio-europejską, nie znajdowały, a może i znaleźć nie mogły rzeczywistego u nas zrozumienia.

Dziś ten stan rzeczy należy do historii. Przykre doświadczenia ubiegłych pokoleń musiały nam wskazać konieczność zmiany dotychczasowego stosunku wobec średnich i drobnych narodów, które razem z nami zamieszkują basen środkowo-europejski. Na domiar wszystkiego, dzieje walk o wolność niosą potrzebę rewizji poglądów na wartość politycznych stosunków z Zachodem. Pamiętamy dobrze, jak to w 19 stuleciu nadzieje nasze, oparte na tradycji owego braterstwa broni, zadzierzgniętego pod sztandarami rewolucyjnej i napoleońskiej Francji, wiązały się ciągle z Paryżem. Nasi mężowie stanu, nasi publicyści i działacze praktyczni, szerokie koła inteligencji polskiej — wszyscy widzieli tam przecież punkt oparcia dla nas i sojusz francuski mimo tylu zawodów, jakich nam Zachód nie oszczędził nigdy, zawsze znajdował w naszym społeczeństwie poklask i zapal nieledwie powszechny.

Nie ma w tym nic dziwnego. Wciągnięci w walkę na wschodnich rubieżach z najrozleglejszym państwem Słowiań-

szczyzny, systematycznie niszczeni na tyłach przez sprzymierzone z Rosją młode państwo pruskie, oglądać się mogliśmy jedynie na Zachód. Opinia Francji, opinia Anglii, opinia Austrii nawet, nabierały w tym wypadku szczególnego znaczenia dla narodu, któremu stale bezwzględne groziło zniszczenie. Słowa Palmerstona czy Napoleona III były dla nas busolą, według kierunku której wyznaczaliśmy nowe polityce polskiej koleje.

Obecne warunki inne są już zgoła. Austria skończyła mocarstwową karierę, stając się małym krajem, podobnie jak i my, narażonym na zaborczość Niemiec. Francja w następstwie moralnego i ludnościowego kryzysu nie jest już w stanie — chwilowo przynajmniej — podjąć w koncercie wielkich potęg samodzielnej akcji i ograniczać się musi w coraz wyższym stopniu tylko do obrony dotychczasowych swych wpływów i dotychczasowego stanu posiadania. Władztwo mórz wymknęło się już z ręki Anglii i w Waszyngtonie zakłada siedzibę. Z drugiej strony narody, na które przywykliśmy dawniej z niedowierzaniem albo i z lekceważeniem patrzeć, zaczęły budzić się do odrębnego państwowego życia albo zamierzają, wieków średnich odnawiać tradycje. Na gruzach dawnej Rzeczypospolitej naród ukraiński, na gruzach Austrii i Turcji Jugosłowianie. Czesi też coraz głośniejszą zaczynają o sprawach Europy mówić. Białorusin Kościuszko był na wskroś Polakiem, jak był nim dawniej Rusin Jeremi Wiśniowiecki, był zresztą jednym z najczystszych wzorów miłości polskości: Białorusin Paskiewicz, którego rodzina szczyciła się szlachectwem polskim, czuł się przede wszystkim rosyjskim marszałkiem: dzisiejsi Białorusini stopniowo w coraz szerszej mierze nabierają poczucia własnej odrębności. Jakże stąd następstwa wypływają dla nas, każdy, kto tylko szczerze pragnie rzeczywistość dojrzeć, potrafi sam znaleźć odpowiedź.

Po pierwszej światowej wojnie jeden tylko, o ile pamięć nas dziś nie zawodzi, Stanisław Bukowiecki spośród wszystkich polskich pisarzy politycznych postawił jasno i zdecydowanie tezę, iż lepiej nam być pierwszym pomiędzy średnimi i małymi państwami, aniżeli ostatnim wśród mocarstw. Ta zasada nie trafiła wówczas do przekonania kraju. W gruncie rzeczy jest to fakt zupełnie jasny. Nasza mocarstwowa przeszłość, nasze niewątpliwe cywilizacyjne zasługi, nasze zdol-

ności, nasza i rzutkość i towarzyska ogląda wszystko to wkładało na nasze ramiona brzemie ambicji tak wielkiej, iż istotnie trudno nam było pogodzić się z myślą, że dopiero wytężona praca szeregu pokoleń odrobić zdoła wszystkie niedostatki, jakie okres niewoli zostawił, uleczyć rany, które pod uciskiem obcym jątrzyć się ciągle musiały. Wojna ostatnia była tym tragicznym wstrząsem, który nas z oparów samouwielbienia wyrwał. I to jest niewątpliwie wielkie wychowawcze znaczenie tej wojny, która jeżeli naprawdę w pełni przez kraj zrozumiana będzie, stać się będzie mogła dla nas podstawą nowego na świat poglądu.

Okrzepła w tej wojnie świadomość narodowej odrębności naszej — poczucie polskie po raz pierwszy w istocie na przestrzeni dziejów przeniknęło do głębi najszerze masy ludu.

Jesteśmy obecnie mimo wszelkich różnic bardziej solidarni i bardziej jednolici w sądzie. Ołbrzymia większość w gruncie rzeczy jedno i to samo myśli — i ta większość nie kureczy się, lecz stopniowo krzepnie. Jesteśmy bardziej jednolici przede wszystkim pod religijnym względem i dlatego to tak nieznaczne, jak dotąd, wyniki wydaje propaganda niektórych wykołejonych życiowo jednostek, co to zamierzają naród z Kościołem poswarzyć.

Powiedzą może jacyś zbyt wrażliwi ludzie, iż nie wolno nam bynajmniej dodatnich następstw tej wojny przeceniać. Zwróć przy tym uwagę na pewne niepokojące zwłaszcza w życiu obyczajowym młodzieży objawy i na ten widok z rozpaczą zaczną załamywać ręce. Czyżbyśmy istotnie chcieli fakty te milczeniem pokryć?

Przyznajemy chętnie, iż wojna ostatnia odkryła niejedną przykrą i niejedną bolesną stronę życia naszego społeczeństwa. Przyznajemy również, iż rany moralne, jakie nam zadała nie prędko i nie łatwo dadzą się zbliżnić. Ale jeżeli pragniemy być szczerzy w stosunku do siebie, uznajmy zarazem, iż to zepsucie, jakie tak otwarcie w koło nas się szerzy, nie jest wyłącznie cechą obecnej, powojennej doby. Któż z ręką na sercu mógłby dziś powiedzieć, że Polska sprzed lat, przypuśćmy, dziesięciu była wzorem moralności publicznej dla całego świata? Czyż znamy ludzi starszego albo średniego bodaj pokolenia, którzy by nie widzieli również i przed wojną, że

wspomnimy tutaj tylko o manii rozwodów, o poziomie widowisk albo o swobodzie pewnego rodzaju prasy popularnej, mocno wątpliwych a nieprzyjemnych rzeczy? Czyż możemy się więc dziwić, że gdy w związku z wypadkami wojny próba charakteru przyszła, nie jeden człowiek, łamiąc się, okazał to tylko, czym w gruncie rzeczy był i przedtem także?

Prawienie morałów było zawsze dość wątpliwą metodą wychowawczą. Człowiek przeciętny zniesie bez skargi wiele przykrych rzeczy, ale jedna z pewnością potrafi go boleśnie do żywego dotknąć: fakt mianowicie, że ktoś w obec niego przybiera pełną majestatu pozę i tym majestatem z wyżyn swej wielkości usiłuje mu całą jego złość wykazać. W niektórych objawach, spotykanych dzisiaj tak często i tak publicznie niemal zwłaszcza pośród młodych ludzi, zdajemy się dostrzegać jak gdyby refleks owego wrażenia, co to powstaje zwyczajnie w człowieku; gdy mu ktoś niepowołany tanie komunały sypie, jest dużo cynizmu; jest pewne oswojenie się z obyczajowym brudem — oswojenie, które nie powinno chyba dziwić nas w epoce, co to widziała obozy koncentracyjne, mordy zakładników i przymusowy wywóz na roboty, wszystkie zresztą bezlitosne metody nowoczesnej wojny, zastosowane tak niedawno jeszcze może wobec najbliższych sercom naszym osób — jest dzięki temu pewne przytępienie sumienia ludzkiego; chęć wyżycia się i zapomnienia, co w głębi nas dręczy. Ale wyznajmy otwarcie, zepsucie dzisiejsze, zepsucie będące świadomym wynaturzeniem woli, jest bezwzględnie mniejsze dzisiaj, niż było przed wojną. Przedwczesnej dojrzałości jest może za dużo, a przy tym poważnej troski wychowawczej brak; ale w świetle tych uwag, jakie podaliśmy wyżej, jasną się przecież staje dla każdego rzeczą, iż ta przedwczesna dojrzałość jest chorobą wieku, a więc chorobą, na którą czas tylko może nam poradzić.

Przedwczesna dojrzałość pociągnęła za sobą inny jeszcze objaw, którego znaczenie ocenić w całej pełni jest dzisiaj zbyt trudno. Tym objawem to brak radości życia, niechęć jakaś instynktowna ku temu wszystkiemu, co przyszłość może nam przynieść — niechęć odzywająca się często nawet pośród ludzi rzeczywiście młodych pewną nieufnością we własne

swe siły, pewną uległością wobec starszych powag, pewnym lekceważeniem młodzieńczych ambicji, gorętszych porów i bujnej wyobraźni, jako rzeczy zdecydowanie psychiczne i społecznie ujemnych. I ten fakt jednak jest zrozumiały na tle współczesnej doby. Jest on reakcją i to reakcją w najściślejším sensie na ogólną postawę przedwojennego świata. Przypominamy sobie przecież dobrze owe czasy! Stawianie na młodzież było wtedy metodą, której chwytali się z pośpiechem wszystkie polityczne ruchy, wszystkie stronnictwa i wszystkie ambitniejsze rządy w Europie. Dzisiaj raczej tylko prawem duchowej bierności, nie zaś na drodze celowych wysiłków metoda ta jeszcze spotyka uznanie. Młodzi ludzie w stylu belgijskiego Degrelle'a występowali przed wojną, jako twórcy programów, poważnie przy tym roszczeni pretensję, by całe społeczeństwo uznało bez zastrzeżeń ich rzeczywiście wyjątkową i opatrnościową rolę. Obecnie raczej dogmatyzm starych szkół i mistrzów, św. Tomasza z Akwinu lub Karola Marxa znajduje bez względu na różnice społeczne, na zmiany ustrojowe czy ideologie rządów oddanych uczniów i gorących wyznawców. Rządy młodzieży i jej przodownictwo w kraju wydają się powszechnie czymś dziwnym, a chociaż nawet w szeregu państw powojennych władzę sprawują młodzi wiekiem ludzie, ani oni sami ani opinia publiczna nie zdają się do tej cechy żadnej przywiązywać wagi.

Postaramy się z kolei ogólny z tych spostrzeżeń wyprowadzić wniosek. Widzimy zmiany, jakie wydarzenia wojenne wprowadziły w życie duchowe narodu. Widzimy zagadnienia nowe, które spowodować mogą a może i spowodować muszą nowe tendencje myśli politycznej polskiej. Ale wszystkie te okoliczności nie zmieniają bynajmniej dogłębnie charakteru społeczeństwa, którego jesteśmy członkami. W gruncie rzeczy jesteśmy nadal i prawdopodobnie zostaniemy stale tacy sami, jak to byliśmy od wieków. Patrzymy w przyszłość pełni niepokoju, nie dzielając wiary w ów postęp powszechny, który tak niedawno jeszcze łudził biedną ludzkość. Realizm pokoleńa zdumiewa może i odstrasza takich, co z osobistego doświadczenia pamiętają dobrze inne zupełnie czasy i inne nastroje. Ale przecież ten realizm jest skutkiem zawodu, jakim

dla całego kraju była dopiero co przeżyta wojna: niewiara w postęp skutkiem załamania się niejednego dotychczasowego programu i trudności znalezienia nowych rzeczywiście zasad. Nie sądzimy, by ludzkość dała się z dnia na dzień zmieniać. Ale mamy wolę odrobić dziejowe pomyłki i ufamy, że ta wola będzie wielkim wkładem, jaki Polska wniesie w przyszłość Europy.

Ks. Włodzimierz Kamiński T. J.

Ewangelia Ducha Świętego

Et renovabis faciem terrae.

W epokach trudnych i skłóconych raz po raz, budzi się wśród chrześcijan wiara — rozdmuchiwana przez proroków samozwańczych — że oto nastąpi, że nastąpić musi jakaś nowa i radykalna interwencja Boża w dziejach, jakieś nowe „wcielenie“ już nie Słowa-Logosu, ale Ducha.

Wiara ta tliła jak zarzewie w pokoleniach, które patrząc na upadek rzymskiego imperium przeczuwały koniec dotychczasowego świata i zamiast przyłożyć ręki do pługa, na nową orkę, chroniły się w mistyczne sny o królestwie Parakleta, które miało rozkwitać z gruzów i zgłiszczy, niby feniks z popiołu.

Wiara ta bucha płomieniem na przełomie pierwszego milenium, gdy mnożące się klęski zdawały się zwiastować cwałujących z oddali jeźdźców Apokalipsy a pokutne rzesze nasłuchiwały trąby Archaniola.

Wiara ta znajduje w średniowieczu swoich wieszczów i uczonych w piśmie wykładanym nader misternie i wnikliwie, na własną rękę, jak ów sławny Joachim di Flore, który pociągnął za sobą pół Italii i po całą Europie rozesał wici.

W nowszych czasach wiara ta stała się formą ucieczki od rzeczywistości w krajach nawiedzonych dotkliwie uciskiem, jak Rosja carska, gdzie surowi w modlitwie zatopieni „starecy“ próbowali opatrywać rany społeczne mistyczną nostalgią za „paruzją“ Ducha Odnowiciela. Snuje się jak czerwona nić poprzez wszystkie niemal dzieła wielkich pisarzy rosyjskich zeszłego stulecia. Mereżkowski jest jej żarliwym apostołem. Wiara ta znajduje oddźwięk i u nas, w naszej wielkiej literaturze romantycznej, u filozofów jak Cieszkowski i Trentowski. Wykładana rozmaicie, często w formie niezbyt teologicznej, sprowadza się ona do jednego, wspólnego mianownika: widok klęsk i tragedii, nękających świat, nasuwa przypuszczenie, że przez Wcielenie Syna-Logosu Bóg nie powiedział ostatniego słowa i że należy się spodziewać ponownej, bezpośredniej, definitywnej i nareszcie triumfalnej, widzialnej ingerencji Ducha Św. w dziejach świata.

Wiarę tę Kościół katolicki zawsze potępiał. Dlaczego?

By odpowiedzieć na to pytanie, rozważmy najpierw doktrynę Kościoła i jego stosunek do historii, skąd nie trudno będzie wysnuć w zarysie chrześcijańską filozofię dziejów.

Stwierdźmy najpierw, że na przekór wszystkim bez wyjątku religiom świata, chrześcijaństwo jest faktem historycznym, dokonanym i dokonywającym się w czasie, wkorzenionym w sam miąższ dziejów, niby drożdże w cieście. Ten aspekt chrześcijaństwa zdumiewał i olśniewał myślicieli pierwszych wieków, nie otrząskanych, jak my, z przedziwną oryginalnością „dobrej Nowiny“. Dość przejrzyć patrystykę grecką, żeby zauważyć, ile miejsca poświęcają tej sprawie potomkowie Arystotelesa i Platona, którzy sądzili wraz z całą, wielką, helleniską tradycją, że powołaniem mędrca jest przez wyćwiczyć czas żyjąc, i myśląc *sub specie aeterni*. Chrześcijańscy myśliciele pierwszych wieków musieli rozprawiać się z tym poglądem, wkorzenionym tak głęboko i uporczywie, że nawet Paweł św., na Aeropagu, nie wskórał nic wobec krytycznego audytorium. Nie zmartwychwstał jako takie odstąpiło tych subtelnych dyletantów, ale wieść o Bogu który porzuca swe *empireum* wieczyste, by objawić się w czasie, oblec się, niejako, *w to co mija*. Dla prawowierne go platończyka myśl taka zakrawała na bluźnierstwo, w tak zwanych „wykształconych środowiskach“ budziła śmiech i odrazę. I owszem, bogowie Olimpu (wierzył w nich naonczas tylko motłoch) mieli swój czas, wymienny własnymi chronometrami, którzy z ciągłością dziejów ludzkich nie miał nic wspólnego. Natomiast filozofia jednomyślnie (bo nawet Heraklit w swym sławnym *panta rei*) uważała czas jako brak i znikomą kanwę zjawisk, które przysłaniają świat odwiecznych idei.

W takiej to atmosferze chrześcijaństwo wybuchło, niby bomba atomowa. To proste zdanie, które czytamy codziennie w prologu Świętego Jana: *Verbum caro factum est*, a „Słowo stało się ciałem“ zwiastowało rewolucję, o jakiej dotąd nie śniło się filozofom. Toż oznaczało ni mniej ni więcej, w języku filozofów, jak zaślubiny wieczności z czasem, z istoty niewspółmiernych. Stając się Człowiekiem, Logos zstąpił w czas, przywłaszczył sobie niejako pewien wykres czasu, nadał mu pewien wiekuisty sens, przesądził na wieki co teraz, co przedtem, co potem. Już nie ucieczka od czasu, ale życie w czasie otwiera dostęp ludzkości. Dzieje świata są ciężarne wiecznością! Posiadają więc sens tak ogromny, jak wieczność, gdyż są tworzywem wieczności... Idee rewolucyjne, które nie łatwo przełknęła mądrość grecka, ceniąca sobie to tylko, co było POZA czasem. Ale Słowo stało się ciałem nie w jakimś czasie olimpijskim, niewymiernym (mitologia grecka zna bogów-herosów), ale *hic et nunc*, pewnego dnia, o pewnej godzinie. I godzina ta, ten dzień

przecięły czas, jak nożycami, przez pół. Tak radykalnie, że mimo różnych reform nawet najzawziętsi ateusze dotąd mierzą dzieje od owego dnia, od owej godziny i mówią o wiekach PRZED Chrystusem i PO Chrystusie.

W mowie św. Pawła na Aeropagu przejawia się wyraźnie ten motyw interwencji Bożej w czasie teraźniejszym, i przeszłym i przyszłym. My przywykliśmy dziś tak bardzo do podobnego toku myślenia, że trudno nam wyobrazić sobie wrażenie, i zgorzsenie, jakie wywoływał on w ówczesnych Grekach. Oto co mówi święty Paweł:

Å na czasy tej niewiedomości Bóg patrząc z pobłażaniem (przeszłość) TERAZ oznajmia ludziom, aby wszyscy wszędzie pokutę czynili (teraźniejszość), dlatego że postanowił dzień, w którym sądzić będzie świat w sprawiedliwości (przeszłość), przez męża którego nazaczył i dał zapewnienie wszystkim, wskrzesiwszy go z martwych...

Gdybyż chodziło o mit zmartwychwstania, gdzieś poza czasem, lub w jakimś olimpijskim czasie! Ale „mąż“ z krwi i kości, który zmartwychwstał „dnia trzeciego“, w miejscu wiadomym? Miną lata i dziesiątki lat, niemal stulecia, zanim helleńska myśl przetrawić zdołała, przyswoić, zgłębić i rozwinąć tę ideę, ładowną dynamitem, że wieczność zstąpiła w czas, zaślubiła czas żłobiąc w dziejach Boży sens.

Zaszczytę i chwałę patrystyki greckiej jest fakt, że podjęła rękawicę, rzuconą przez Pawła na Aeropagu i w prawym turnieju rozprawiła się z nim, tłumacząc na język filozofów, co było w ustach apostoła narodów pierwocinami myśli jeno i świętym bełkotem. Bardziej nam znany św. Augustyn podejmuje w *Civitas Dei* grecką schedę i wyklada ją w duchu praktycznego, rzymskiego realizmu. Rzec można, że cała patrystyka, i grecka i rzymska jest bogatą kopalnią (niewyzyskaną) dla badaczy chrześcijańskiej filozofii historii. Oby ten szkic pobieżny stał się podniętą dla naukowych rozpraw.

Nam jednak nie chodzi w tym artykule o naukowe rozprawy. Poprzestańmy na konkluzji, nasuwającej się nieodparcie z powyższych przesłanek, że fakt Wcielenia Słowa odwiecznego nada dziejom pewną ciągłość, pewien sens, pewien kierunek i pewien cel o perspektywie kosmicznej. Tu z kolei przyjdzie nam w sukurs św. Paweł, ze swoją wspaniałą doktryną o Ciele Mistycznym Chrystusa. Oto „tajemnica“ specjalnie zawierzona Apostołowi narodów, która po raz pierwszy stanęła przed nim jak tragiczne pytanie na drodze do Damaszku:

*Szawle, czemu mnie prześladujesz? — Kto jesteś, Panie?
Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz...*

Paweł nie znał Jezusa, nigdy nie podniósł nań ręki... Czyżby więc ten Znienawidzony co go zgruchotał piorunem łaski, zniewolił

miłością, mocniejszą nad śmierć, czyżby ten Jezus, utożsamiał się ze swymi uczniami, brał na własne konto wyrządzone im krzywdy? Trzy dni i trzy noce w mrokach ślepoty, borykał się z tą myślą niespodziewaną, a więc, kamienując Szczepana, gromił Jezusa? A więc ścigając chrześcijan, prześladował Jezusa? Kimże był ten Jezus, żyjący w swych uczniach?

Odpowiedź przyszła jak nowe olśnienie i Paweł ją przytacza, w liście do Galatów, lapidarnym skrótem: *Spodobało się Bogu OBJAWIĆ SYNA SWEGO WE MNIE, abym go przepowiadał narodom*¹⁾. W dwu więc niejako etapach odbyło się nawrócenie Pawłowe: a) na drodze do Damaszku dowiedział się, w niewysłownym olśnieniu, że Jezus i uczniowie Jego, to „Jedno”²⁾.

b) o niewiadomej godzinie — może w domu Judy, na ulicy Prostej? może na pustyni arabskiej, dokąd zawiódł go Duch zaraz po nawróceniu? — Bóg mu objawił, że Jezus i on, Paweł — to „Jedno”. Olśniewające odkrycie, które wieść go miało, etapami, do zupełnego wywłaszczenia, do całkowitego utożsamienia z Chrystusem: *Żyję ja, już nie ja, lecz żyje we mnie Chrystus*³⁾.

Na tych dwóch objawieniach danych jemu, Pawłowi, wspiera się jak na fundamentach „jego” nauka i „jego” tajemnica, której strzeże i broni jak źrenicy oka: ZE KOŚCIÓŁ I CHRYSZTUS — TO JEDNO⁴⁾.

Stopniowo etapami, według praw organicznego wzrostu, które Bóg szanuje, skoro poddał się im sam — myśl ta rozwija się w Pawle, wzbogaca, pęcznieje i dojrzewa, aż lata przymusowego, opatrnościowego skupienia w więzieniu rzymskim doprowadziły ją do pełnego rozkwitu. Święty Klemens Aleksandryjski prawi nam o „pedagogii Ducha Świętego” usprawniającej powoli człowieka do nawiedzin Bożych. Była to myśl droga ojcom greckim. Sledzą tę taktykę niebieską w starym testamencie, podziwiają i wielbią cierpliwość Bożą, poddającą prawom czasu prawdy odwieczne. „Nie mało stopni wiedzy człowieka do Boga” — woła święty Ireneusz⁵⁾. Nigdzie bardziej niż w życiu i pracach świętego Pawła, nie przejawia się cierpliwa pedagogia Boża, prowadząca go jakby za rękę, z etapu w etap, ku coraz szerszym horyzontom, ku coraz zawrotniejszym szczytom. Na drogę do Damaszku padło ziarno, które rozrosło się drzewem ogromnym, tym śmielej mobilizującym niebo, im głębiej, istotniej w ziemię wrasta...

Nie będziemy tu jednak śledzić stopniowej ewolucji myśli Pawłowej, ani etapów, które znaczą jej wzrost. Przejdźmy od ra-

¹⁾ Oczywiście chodzi tu o *jedność mistyczną (ut sint UNUM)* Chrystusa „Całego” (*Christus Totus*) żyjącego i przedłużającego się w Kościele, a więc o jedność, która nie godzi ani w transcendencję Stwórcy ani kondycję stworzenia.

²⁾ Gal. I, 16. ³⁾ Gal. II, 20. ⁴⁾ Col. I, 24. ⁵⁾ „Non pauci gradus qui adducunt hominem ad Deum”. Adv. Haer. 4, 9, 3.

zu do epoki, w której wyraziła się najlepiej: do listów pisanych, z więzienia. Jak święty Paweł widzi Kościół w tym ostatnim okresie swojego życia?

Oby Bóg Pana naszego Jezusa Chrystusa — czytamy w liście do Efezów — dał wam Ducha mądrości, który by objawił Go wam i dał wam Go poznać; oby oświecił oczy serca waszego, abyście wiedzieli jaką nadzieję wzbudza w was ten fakt, iż was powołał i jakie bogactwa chwały otrzymacie odeń w dziedzictwie; wespół świętych, i jaka jest niezmierna wielkość potęgi jego względem nas, którzy wierzymy...

Nie oczom „cielesnym“ zgłębiać tajemnice Boże! By pojąć Chrystusa, by zrozumieć Kościół (dla Pawła to jedno) trzeba mieć rozum oświecony Duchem mądrości. On nam objawi że... tę potęgę Bóg wyraził w Chrystusie, wzbudziwszy Go z martwych i posadziwszy na prawicy swojej, w niebiesiech, nad wszelkie księstwa i władze i moc i panowanie i nad wszelkie imię... i wszystko poddał pod nogi jego, a jego dał głowę nad wszystkim Kościołem, KTÓRY CIAŁEM JEGO I PEŁNIĄ TEGO, KTÓRY SAM SIĘ WE WSZYSTKIM WYPEŁNIA ¹⁾.

Te ostatnie słowa, stłoczone w oryginale przejmującym skrótem, nie przetłumaczalne, otrzymują w czwartym rozdziale tegoż listu oślniewający komentarz:

Ten który zstąpił do niższych części ziemi, jest tymże samym który wstąpił nad wszystkie niebiosy, aby nappełnił wszystko.

to On uczynił jednych apostołami, drugich prorokami, innych ewangelistami, innych jeszcze pasterzami i doktorami, ku doskonałemu świętym, ku pełnieniu służby (Bożej), KU BUDOWANIU CIAŁA CHRYSTUSOWEGO,

aż dopóki, wszyscy razem, zejdziemy się w jedność wiary i poznania Syna Bożego, stanowiąc jednego męża dorosłego, o wzroście odpowiadającym pełni Chrystusowej, abyśmy już nie byli dziećmi chwiejnymi i unoszonymi każdym podmuchem nauk przez złość ludzką i chytrą usiłującą wprowadzić nas w błąd,

lecz czyniąc prawdę w miłości ²⁾, żebyśmy rośli pod każdym względem w Nim, który jest Głową: w Chrystusie,

z Niego to całe ciało poprzez ścięga czerpie jedność i spójność i dzięki wzajemnemu posługiwaniu poszczególnych członków, działających każdy wedle właściwej sobie miary, sprawuje swój własny wzrost, ku zbudowaniu samego siebie w miłości.

Zaden język świata nie zdoła odtworzyć tego tekstu, w którym biedne, ludzkie słowa, cisnące się tłumnie pod pióro Pawłowe, starają się pojąć, osaczyć to, co niewysłowione. Po niemal dwu tysiącach lat słyszymy jeszcze, w tych wierszach natchnionych,

¹⁾ Przyjmuje tłumaczenie Merscha *Corps Mystique* t. I, str. 121.

²⁾ *Aletheuontes en agape* — skrót nieprzetłumaczalny — mówiący o wiele więcej niż tłumaczenia *Wulgaty facientes veritatem in charitate*.

bełkot zachwycenia, czujemy biały żar serca, bijącego rytmem Chrystusowym (*Cor Pauli Cor Christi*, mówi św. Jan Chryzostom), zdruzgotanego bezmiarem miłości Bożej. Nie szukajmy w tym tekście logicznego wyводу! Paweł WIDZI i dzieli się z nami prawdą objawioną, jak chlebem. Spróbujmy wszakże przetłumaczyć na proste słowa tę ewangelie Pawłową, którą Pan za-wierzył jemu, osobiście jako tajemnicę wiary:

Chrystus jest Głową, Kościół Ciałem Jego. Chrystus i Kościół stanowią Jedno, Chrystusa CAŁEGO. Z Głowy całe ciało czerpie wzrost i życie i siłę. Głowa daje Ciału organiczną jedność. I ciało Chrystusowe wciąż rośnie, nie tylko ilościowo, przyjmując coraz to nowych członków, lecz również jakościowo, niejako w głąb, doskonaląc każdy z członków na właściwą miarę.

Bez Kościoła Chrystus nie jest cały, tak jak głowa bez ciała obejść się nie może. Kościół jest więc pełnią Chrystusową, *pleroma*. Ale Kościół, jak każdy żywy organizm rozwija się i rośnie. Pełnia jego wypełnia się niejako — w czasie. Tajemniczą treścią, sensem i celem dziejów jest więc wzrost Kościoła, wzrost Chrystusa w Jego Ciele Mistycznym. Nie jakoby Chrystus-Głowa sam w sobie był niedoskonały, lub cierpiał na jakowyś brak, gdyż w Nim Bóg zawarł *cieleśnie wszelką doskonałość*. Lecz naturą dobra jest rozprzestrzeniać się i rość: *bonum diffusivum sui*. „Niedościgłe bogactwa Chrystusowe“ po to są, by ożywiać, umacniać, doskonalić i prowadzić do pełnego wzrostu łaski tych wszystkich, których organicznie zaszczerpił w Nim chrzest. Miłość to sprawia, że między Nim i członkami Jego wszystko jest wspólne, że łączy je i spaja jedno życie, jeden Duch.

A Duch Chrystusowy jest tym samym Duchem, który zamyka krąg miłości w Trójcy Przenajświętszej. Duszą niejako Mistycznego Ciała jest Duch Święty: Kościół narodził się w Wieczerniku, w dzień pierwszych Zielonych Świąt.

Tajemniczą misją Ducha Sw. jest kształtowanie, budowanie, doskonalenie i uświęcanie Ciała Chrystusowego:

Jesteście ciałem Chrystusowym i członkami z członków...

Albowiem w jednym duchu my wszyscy w jedno ciało jesteście ochrzczeni (I. Kor. XII, 27, 13).

O naszej przynależności do Chrystusa, do Kościoła, świadczy Duch Święty, działający w nas.

Jeśli kto Ducha Chrystusowego nie ma — woła Paweł — TEN NIE JEST JEGO. Bo którzykolwiek Duchem Bożym rządzeni są, ci są synami Bożymi (Rzym. VIII. 9, 14).

A Duch Boży kształtuje Ciało Mistyczne Chrystusa tak, jak ongiś ukształtował Jego Ciało fizyczne w łonie Najśw. Maryi Panny. Pomiedzy Zwiastowaniem i zapowiedzią zstąpienia Ducha

Sw. istnieją uderzające, nawet słowne analogie. Rzekłbyś, teksty natchnione z całą siłą chciały nam uprzytomnić, że tu i tam działa jeden i ten sam Duch.

Przeprowadźmy paralełę:

U św. Łukasza, werset 35, anioł Gabriel mówi do Maryi:

Duch Święty zstąpi na cię, a moc Najwyższego zacięni cię. Przeto i to co się z ciebie narodzi święte, będzie nazwane Synem Bożym.

Przed wniebowstąpieniem, w pożegnalnej mowie, Chrystus pociesza uczniów zapowiadając im przyjście Parakleta-Pocieszyciela:

A ja posyłam na was obietnicę Ojca mego: wy zaś siedzicie w mieście, aż zostaniecie obleczeni mocą z wysokości (Łuk. 24, 49).

I jeszcze wyraźniej, w pierwszym rozdziale Dziejów Apostolskich:

Po niewielu tych dniach będziecie ochrzczeni Duchem Świętym.

A gdy Duch Św. zstąpi na was, otrzymacie moc, i będziecie mi świadkami w całej Judei i w Samarii i aż do krańców ziemi (I. 5, 8).

Tekst grecki jeszcze mocniej uwydatnia podobieństwo obu Zwiastowań. Rzecz znamienita Maryja była obecna wśród apostołów, gdy zstąpił na nich Duch Święty. W tym właśnie momencie wypełniła się i rozpoczęła jednocześnie jej macierzyńska rola wobec Kościoła, zapowiedziana na krzyżu: *Niewiasto oto syn twój...* i podjęta od owego dnia i od owej godziny aż do końca wieków, aż do tej chwili, gdy ostatni członek Ciała Mistycznego osiągnie pełnię wzrostu i Chrystus rozpięty na krzyżu czasu i przestrzeni nareszcie będzie „CAŁY”. Duch Sw., autor pism natchnionych, nie mógł jaśniej nam unaocnić uniwersalnego pośrednictwa Matki Najświętszej. Tak jak Chrystus Głowa narodził się *de Spiritu Sancto, ex Maria Virgine*, podobnie Jego Ciała Mistyczne rodzi się pod wpływem Ducha Sw., za macierzyńskim pośrednictwem Maryi. Kościół jest niejako „wtórnym wcieleniem” (Karol Adam) przedłużającym Chrystusa w przestrzeni i czasie tą samą mocą, która ongiś w Nazarecie dała mu fizyczny byt. I tak jak *fiat* Maryi zadecydowało o Wcieleniu, podobnie jej *fiat* pod krzyżem, zatwierdzone glorią Wieczernika, w ów dzień dziesiąty po Wniebowstąpieniu, rozpoczęło w Kościele błagłą wszechmoc jej uniwersalnego macierzyństwa. Maryja jest Matką naszą z tego samego mianowania i tą samą mocą, która sprawiła, iż jest Matką Chrystusa. Nigdy nie zgłębimy dostatecznie przedziwnego realizmu tej prawdy olśniewającej, wiążącej nas niejako organicznie, poprzez Chrystusa i w Chrystusie, z Matką Bożą, w jednym i tym samym, **SWIĘTYM DUCHU**.

Dalszy ciąg powyższych rozważań podamy w następnym numerze.

Maria Winowska

Przegląd piśmiennictwa

Ewangelie i Dzieje Apostolskie z greckiego przetłumaczył i krótko objaśnił ks. Feliks Grylewicz. Katowice. Księgarnia św. Jacka 1947. Str. 480 in 12^o.

Jest to zjawisko, które powtarzało się już po wiele razy, że kiedy w jakimś narodzie posługiwano się przez długie wieki jednym, i to zazwyczaj pięknym, przekładem Pisma świętego, do brzmienia tego przekładu tak przywiązywało się i ucho i serce wiernych, że ono stawało się dla nich nieomal tak drogim, jak sam tekst, który na tej drodze do świadomości ich dochodził. Z chwilą jednak, jak pod naporem nowych potrzeb i nowych odczuć zaczynał powoli rozwiewać się urok, który ten jedyny stary przekład otaczał, pojawiało się od razu kilka a nawet kilkanaście prób nowych tłumaczeń, które na różnych zasadach i w rozmaitym zasięgu starały się w sposób bardziej współczesny wyrazić odwieczne Słowo Boże. Tendencja ta jest zupełnie zdrowa: nie może chodzić przede wszystkim o brzmienie słów takiego lub innego przekładu, ale o jak najwierniejsze i najbardziej zrozumiałe oddanie myśli natchnionego autora. Świeży przekład Psalmów i podjęte już przez całą komisję uczonych, prace, nad obleczeniem całej Biblii w lepszą łacińską szatę, niż ją dawała Wulgata, są wyraźnym dowodem, że i Kościół powyższą tendencję pochwala.

W Polsce, jak wiadomo, pojawił się już cały szereg całkiem nowych, lub opartych o Wujka, przekładów, zwłaszcza Nowego Testamentu i Psalmów. Przekład Czterech Ewangelii i Dziejów Apostolskich, któremu tu chcemy poświęcić kilka uwag, jest nowym przyczynkiem do tego chwalebnego i obiecującego ruchu w kierunku polszczenia Ksiąg świętych.

Ks. Grylewicz oświadcza w przedmowie: „Przetłumaczyć, o ile można, jasno i dokładnie, nowym językiem i zgodnie z wymaganiami poziomu dzisiejszej nauki, Pismo święte, oto naczelnym celem, a równocześnie zasady mego przekładu.“ Dokonany zaś został ten przekład z krytycznego wydania greckiego tekstu, opracowanego przez ks. Augustyna Merka profesora Biblijnego Instytutu w Rzymie (3-cie wyd. 1938).

Gdyby nie to, że do tłumaczenia Pisma św. trzeba koniecznie przykładać, nie lada jaką, ale wysoką miarę, można by powiedzieć, że cel powyżej naszkicowany, został przez Tłumacza nieźle osiągnięty. Tekst, jaki on daje jest zrozumiały; myśl świętych autorów występuje w ogóle jasno i oddana jest przeważnie wiernie; są całe ustępy przełożone tak udatnie, że czyta się je z prawdziwą przyjemnością.

Niestety jednak nie brak usterek, i to tak licznych, że nie mogąc ich wymienić z osobna, bo złożyłyby się na bardzo długą litanie, wyliczymy tylko pewne kategorie niedostatków, podając przy każdej z nich po kilka przykładów, wybranych raczej przygodnie.

I tak przede wszystkim w bardzo wielu wypadkach sens zdań lub słów oddany jest nieściśle. Np. zupełnie zmieniony jest sens słowa Chrystusowego (Mt. 6, 22 n.), gdy ks. G. zamiast oka „prostego“ i „złego“ wprowadza oko „zdrowe“ i „chore“ Nawiasem mówiąc, oko w tym samym ustępie jest pochodnią „ciała“, nie „dla“ ciała. Podobnie zmieniony jest sens ślicznego zdania Apostoła z kazania w Areopagu (Dz. 17, 27), bo nie ma tam pytania, czy poganie znajdą Boga, ale wyrażona jest myśl, że Bóg otoczył dobrodziejstwami rodzaj ludzki tak, żeby nawet bez objawienia, niejako po omacku mogli Go znaleźć. Co do zmienionego sensu wyrazów, jest np. zupełnie co innego, że oczy uczniów idących do Emaus były „zatrzymane“, tzn. niejako skrępowane mocą Bożą, a co innego, że były, jak tłumaczy ks. G., „zamglone“. Podobnych przykładów można by przytoczyć pewnie około stu lub więcej.

Gdzie indziej wprowadza ks. G. — jest to znana pokusa tłumaczów Pisma — własną w słowa natchnione egzegezę, może obiektywnie słuszną, ale dodającą coś, czego w tekście świętym nie ma. Tak np. (Łk. 11, 14) nie jest powiedziane, że Zbawiciel „wyrzucał czarta z niemowy“, tylko, czart był niemy, jak to w przekładzie słów Chrystusowych (Mr. 9, 25) sam ks. G. przyjmuje. Podobnie nie mówi Pan Jezus (Jan 12, 32), „gdy zostanę wysoko zawieszony ponad ziemią“, ale „gdy zostanę podwyższony“ z ziemi, czyli od ziemi, (Mt. 6, 25 n.) nie mówi Pan Jezus: „nie troszczcie się zbytnio“ o pokarm i odzienie, tylko: „nie troszczcie się“, uwagi można dodać w dopisku, ale nie wolno ich włączać w tekst święty. Tak samo, jeśli ewangelista mówi: „w świątyni“, nie należało tłumaczyć: „w dziedzińcu świątynnym“. Całe mnóstwo podobnych usterek pomijam.

Kiedy indziej znowu używa ks. G. albo wyrazów zupełnie niezrozumiałych dla polskich czytelników, np. lept (Mr. 12, 42), kodrant (Mt. 5, 26), stadium (Jan 6, 19), Dike (Dz. 28, 4) itd, kiedy można było oddać to wszystko dobrymi i jasnymi polskimi wyrazami, albo stara się spolszczyć słowa, które i tak każdy rozumie — pisze np. stale „sobota“ zamiast „szabat“, choć to ostatnie słowo

ma swoje specyficzne zabarwienie, którego „sobota“ nie posiada. Tak samo nie należało tłumaczyć greckiego „Chrystus“ przez „Mesjasz“, bo, choć obu tym słowom odpowiada jedno i to samo pojęcie, wyraz „Chrystus“ w Ewangelii, osobliwie u Mt. 16, 16 ma pewien odrębny odcień, nowemu, nie staremu Zakonowi właściwy. Nie wiadomo też czemu daje nam ks. G. Artemidę, zamiast Diany (Dz. 19, 24 n.), Syloam zamiast Siloe (Jan 9, 7 n.) itd. Podobnym prawem mógł pisać „Mariam“ zamiast „Maria“.

Inną kategorię ujemnych właściwości przekładu stanowią usterki stylistyczne. Czasem są to wyrażenia niezgrabne i pospolite, np. Herodiada „była zła“ na Jana Chrzciciela (Mr. 6, 19), „ten człowiek to jest zaraza“ (Dz. 24, 5), „przybierają wyraz twarzy, jakby byli przygnębieni“ (Mt. 6, 16), „ten, który macza ze mną w misie“ (Mr. 14, 20) itp. Niekiedy znowu pomija Tłumacz rozmaite spójniki (*kai, men, de, tote* itd.) łączące poszczególne zdania, dając nam, zamiast związanego opisu, szereg anakolutów, tym bardziej nużących, że greckie *praesens historicum* oddaje nieraz formami czasu teraźniejszego, co w polskim języku rzadko tylko da się trafnie zastosować. Tak np. Łk. 8, 30 n.: „Jezus zapytał: Jak ci na imię? Odpowiedział: Legion. Wielu bowiem czartów w niego weszło. Prosili go, aby im nie nakazał iść w przepaść. Pod górą pasło się tam wielkie stado świń. (NB. w oryginale jest „wieprzów“, co jest chyba równie zrozumiałe!). Prosili Go, aby im pozwolił wejść w te świnię. On zgodził się. Czarty zaś wyszły z człowieka i wpadły w świnię“. Podobnych przykładów można by przytoczyć sporo.

Jak z tego ustępu i wielu innych widoczne, dość zbywa tłumaczeniu ks. G. na pewnej powadze i namaszczeniu i ozdobie stylu, jakiej można by słusznie oczekiwać w przekładzie Słowa Bożego. Co innego jest współczesność i zrozumiałość, co innego pospolitość i zaniedbanie. Do pewnego zatarcia tych granic popychała ks. G. i nieuzasadniona tendencja, żeby nie używać słów, którymi posługiwali się dawni tłumacze, choć te słowa były stanowczo lepsze. Czemu np. zamiast „mężowie“, co dużo lepiej odpowiada greckiemu *andres* pisze zawsze ks. G.: „mężczyźni“? Czy to ma być bardziej zrozumiałe? Czy nie groteskowo wygląda ten wyraz, jeśli, jak np. Dz. 1, 10 jest jasnym, że owi „mężczyźni“ to aniołowie? Podobnie dla czego Łk. 22, 64 nie tłumaczy ks. G., jak ma oryginał: „Prorokuj“, tylko: „Zgadnij, kto Cię uderzył?“ Wszak sztyderstwo tkwi tu właśnie w słowie: „Prorokuj!“ Całe mnóstwo podobnych wyrażeń dałoby się przytoczyć.

W rezultacie więc trzeba powiedzieć, że przekład ks. G. może być pożyteczny, ale musi ulec bardzo znacznej przeróbce, przy której powinno pracować kilka par rąk i kilka umysłów. Tak, jak rzecz się ma, nie tylko nie nadaje się do liturgicznego użytku, ale można mieć wątpliwość, czy powinna dostać się w ręce poszczególnych wiernych. Sądzę, że w ogóle przekład był dokonany za prędko i za pobieżnie, dzięki czemu np. w Dz. 12, 19 wypadła zupełnie

cała połowa zdania. Być też może, że lepiej byłby zrobił Tłumacz, gdyby nie był tak niewolniczo szedł za tekstem Ojca Merka, który, choć w ogóle bardzo dobry, zbyt sztywnie trzyma się pewnych teoretycznych założeń co do selekcji tych lub owych wariantów dawnych kodeksów i przekładów.

Ks. J. Rostworowski T. J.

Bolesław Kuźmicz: *Katolicy wobec przemian społecznych*.
Wydawnictwo *Ex Libris*, Warszawa 1947, str. 60.

Rozprawka p. Kuźmicza, której celem jest wytknięcie biernej postawy i społecznych zaniedbań katolików, przypomina krzyk człowieka, który chce obudzić śpiących w walącym się domu. W takich warunkach trudno od krzyczącego wymagać starannego doboru słów i głębokiej filozoficznej rozważ. Przeciwnie — im głośniejszy i skuteczniejszy, tym lepiej. Co do pierwszego, to rozprawka jest wystarczająco głośna. Krzykiem przytaczanych zdań i faktów może obudzić śpiące w kimś sumienie lub przynajmniej zyrtytuje, wywoła sprzeciw, pobudzi do myślenia. Co do drugiego, to sądzę, że praca p. Kuźmicza byłaby skuteczniejsza, gdyby nie raziła brakiem wyjaśnienia takich podstawowych rzeczy, jak istota każdej zdrowej reformy społecznej, konieczność zachowania we wszelkich przebudowach ustrojowych prawnohumanistycznej ciągłości, rola czynników zachowawczych w życiu itp. Gdyby te sprawy oświećliło się należycie, może postawa ogółu katolików nie wydałaby się tak ciężkomyślna, jak się wydaje po przeczytaniu broszury p. Kuźmicza. Nie mam zamiaru wybielać naszych społecznych zaniedbań. Ale w ocenie takich zjawisk, jak konserwatyzm czy reakcyjność sfer kościelnych wobec lewicowych ruchów społecznych XIX i XX stulecia, należy brać pod uwagę wszystkie fakty i okoliczności. Otóż faktem jest, że prawie wszystkie radykalniejsze ruchy społeczne tych stuleci z tych czy innych powodów wiązały się z ruchem laicystycznym lub wprost antyreligijnym. Musiało to rzecz jasna wywołać opór całego obozu religijnego, nieraz nawet tam, gdzie ze względów czysto socjalnych można było iść za nowymi hasłami. Czyja to była wina, niech sędzi historia. Jest to jednak wystarczającą przestrogą, żeby całego cędzaru odpowiedzialności za opóźnianie reform nie składać na barki samych katolików. Na skutek tych zasadniczych nieudomówień i niesłusznych uproszczeń nie można tej broszury zalecić każdemu. A szkoda. Bo w dziele uświadamiania sobie i innym naszych społecznych obowiązków każdy wysiłek jest bardzo cenny.

Ks. Aleksander Kisiel T. J.

Oprócz tego nadesłano do redakcji:

Nakładem Chłopskiej Spółdzielni Wydawniczej, Warszawa:

- Jan Rudy: Wino, miód pitny, ocet owocowy w każdym domu z własnych surowców. 1947. Str. 94.
 Józef Wojtyna: Zasady polityki handlowej i organizacji obrotu. 1947. Str. 114.
 Lament chłopski na pany oraz inne narzekania na niedolę poddanych polskich. Zebrali i wstępem poprzedził dr Stanisław Szczotka. 1949. Str. 125.

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Kolumna”, Warszawa 1947:

- Doc. dr J. J. Karpiński: Białowieża. Str. 135.
 Prawo skarbowe. 1. Formalne prawo podatkowe. Str. 134. 2. Finanse i podatki komunalne. Str. 138.

Nakładem Książnicy-Atlas, Wrocław 1947:

- Henryk Barycz: Ślązacy w polskiej kulturze umysłowej na tle polsko-śląskich związków duchownych w przeszłości. Str. 71.
 J. van Ammers-Küller: Wierność rodu Tavelincków. 1799—1813. Powieść z czasów Napoleona. Str. 540.
 Józef Wąsowicz: Stosunki językowe na Śląsku w świetle nauki niemieckiej. Str. 30.
 Kalendarz „Iskier” na rok 1947. R. 16. Mała encyklopedia i notatnik. Oprac. Władysław Kopczewski. Str. 112. Cz. 2. Str. 113—352.
 Tadeusz Kudliński: Farbowane lisy. Powieść. Str. 259.
 Wanda Pawłowska: Peregrynacja Królewicza JM-ci. Str. 67.
 Wilhelm Szewczyk: Śląski trud literacki. Pisarze śląscy XIX i XX wieku. Str. 67.

Nakładem Księgarni „Postęp”, Wrocław 1946:

- Aleksander Korewa: Kształcenie charakteru. Str. 127.
 O. Marian Pirożyński, redempt.: Źródło życia. Str. 211.
 Stanisław Kazimierzczuk: Kwiat paproci. Baśń sceniczna ze śpiewami i tańcami. Str. 32.

Nakładem Księgarni Św. Jacka, Katowice 1947:

- O. C. Karg O. M. Cap.: Mała tajemnica. Wyd. 3. Str. 60.
 Dr Anna Danuta Drużbacka: Modlitwa której nas nauczył Syn Boży. Str. 61.
 Dr H. Pfeil: Tragizm negacji Boga. Tłum. A. C. Str. 23.
 Gustaw Morcinek: Listy z mojego Rzymu. Str. 151.
 H. F.: Nasz Tabor. Krótkie rozmyślenia na tle Ewangelii św. Mateusza 17, 1-6. Spolszczył Fr. Cz. Str. 32.
 Jan Baranowicz: Madejowa klechda. Baśń sceniczna w pięciu aktach z prologiem. Str. 60.
 Jan Wł. Gunia: Cudowny świat przygód. Wolny przekład. Str. 196.
 Ks. Dr Franciszek Sawicki: U źródeł chrześcijańskiej myśli. (św. Augustyn. Św. Tomasz z Aquinu. Mistrz Eckhart). Str. 157.
 Ks. dr Karol Wilk: Św. Benedykt patriarcha Zachodu. Z uwzględnieniem wielkiej roli św. Wojciecha w Polsce. Str. 35.
 Ks. Michał Rękas: Objawienie Matki Bożej w Fatima i chwila obecna. Str. 61.
 Walenty Majdański: Giganci. Wyd. 3. Str. 231.
 Zofia Kossak-Szatowska: Beatus celus. Str. 128.

Nakładem M. Arcta, Wrocław 1947.

- Ernest Seton Thompson. Dzielný rogač. Opowiadania z życia zwierząt. Str. 158.

- Inż. K. Podhorski-Okołów: Egzamin kierowcy. Repetytorium dla kandydatów na kierowców pojazdów mechanicznych. Str. 58.
 M. Arcta słowniczek wyrazów pisanych łącznie lub rozdzielnie. Razem czy osobno. Wg przepisów Akad. Umiejętności z r. 1936 oprac. Irena Arctowa. Wyd. 2 uzup. Przejrzane przez prof. Un. Wrocław. Stanisława Rosponda. Str. 140.
 Maria Buyno-Arctowa: Wieś Szczęśliwa. Powieść. Str. 172.

Nakładem Spółdzielni Księgarskiej „Nauka”, Bydgoszcz 1947:

- Ludwik Bandura: Szkoła społeczniowa. Str. 122.
 Władysław Dunajowski: Ludzie spod miedzy. Wyd. 2. Str. 273.
 Nakładem SS. Witytek, Kraków 1947:

- Nabożeństwo do Ducha Św. Str. 78.
 Niech żyje Jezus! Książka do nabożeństwa. Str. XVI, 447.

Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1947:

- Rocznik Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. R. 39. 1946. Str. 144.
 Sprawozdania z posiedzeń Wydziału I. Językoznawstwa i Historii Literatury. R. 39. 1946. Zesz. 1—2. Str. 97.
 Witold Kamieniecki: Społeczeństwo litewskie w XV wieku. Str. 125.

Nakładem Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań 1947:

- Nik Rostworowski: Wiersze. Str. 45.
 S. Jeleński: Valde ama. Cztery rozpowieści. 1. Pod błękitami. Str. 331.
 Władysław Jan Grabski: Zrękowiny w Uppsali. Sagi o jarlu Broniszu. Cz. 1. Wyd. 2. Str. 397.
 Wojciech Rawski: Zdrowotność na wsi. Str. 157.

Nakładem Wydawnictwa Księży Salwatorianów, Trzebinia 1947:

- Ks. G. Hegele: Święte małżeństwo. Wyd. 2. Str. 23.
 Wojciech Mieszkowski: Znajomość ludzicyli o temperamentach w życiu ludzkim. Wyd. 3. Str. 199.

Nakładem Wydawnictwa Spółdzielni „Unitas”, Wrocław 1947:

- Ks. Michał Milewski: Ojciec nasz. Str. 31.
 — Wierzę w Boga Ojca. Krótki wykład Składu Apostolskiego. Str. 47.

Nakładem Apostolstwa Chorych, Katowice:

- Józef Bilczewski arcybiskup lwowski ur. 1860, † w opinii świętości dn. 20 III 1923. Lwów 1944. Str. 8.
 Na ścieżkach modlącego się arcybiskupa. Wyjāti z pism służy bożego Józefa Bilczewskiego. Lwów 1944. Str. 55.

Nakładem różnych:

- Aleksander Bocheński: Dzieje głupoty w Polsce. Panflety dziejopisarskie. Wydawnictwo „Panteon”. Warszawa 1947. Str. 329.
 Czesław Schabowski: Tama. Powieść. St. Jamiolkowski i T. J. Evert. Łódź 1947. Str. 259.
 Dywersja w Zamojszczyźnie 1939—1944. Wydawnictwo Materiałów do Dziejów Zamojszczyzny w latach wojny 1939—1944. Pod red. dr Zygmunta Klukowskiego. T. 4. Z zasiłku Instytutu Pamięci Narodowej i Ministerstwo Kultury i Sztuki. Zamość 1947. Str. 176.
 Émile Villaret S. J.: Les Congrégations Mariales. 1. Des origines à la suppression de la Compagnie de Jésus (1540—1773). Beauchesne. Paris 1947. Str. 607.
 H. H. Parúzel: Z Fatimy do Polski. Księża Misjonarze Oblatów Marii Niepokalanej. La Fertèsous-Jouarre (S. et M.) 1947. Str. 139.
 Kalendarz Ziemi Odzyskanych nar. P. 1948. Niższe Seminarium Duchowne w Gorzowie Wlkp. Str. 96.

- Ks. Antoni Słomkowski: Pochodzenie człowieka w świetle nauki Kościoła katolickiego i w świetle teorii ewolucji. Wyd. 2. Towarzystwo Nauk. K. U. L. Lublin 1947. Str. 31.
- Ks. dr Ludwik Ziętek: Małżeństwo z ustanowienia Bożego. Rozważania filozoficzno-moralne. Wydawnictwo Seminarium Za-granicznego. Potulice 1947. Str. 79.
- Ks. J. Makłowicz: Droga Krzyżowa, Gorzkie żale i Pieśni wielkopostne. Wrocław 1947. Str. 64.
- Mały Katechizm katolicki W dodatku: Przygotowanie do spowiedzi i Komunii Św. Wyd. 9. Druk. Archidiecezjalna Wrocław 1946. Str. 66.
- Mgr Tadeusz Kerc: Teoria ubezpieczeń społecznych w zarysie. Spółdz. Wyd. „Słowo” Łódź 1947. Str. 24.
- X. Michał Rekas: Chorzy w życiu Kościoła. Na podstawie Encykliki Piusa XII „Mystici Corporis”. Krajowa Centrala Caritas — Apostolstwo Chorych. Kraków 1947. Str. 24.
- Nowoczesne pojęcie Kościoła (na tle Encykliki Papieża Piusa XII »Kościół, Mistyczne Ciało Chrystusa“) F. Mildner a. Sons. London. 1946. Str. 36.
- Ludwik Selen: Ekonomia polityczna. Szkic wykładu. Spółdzielnia Wydawnicza „Ingos”. Łódź 1947. Str. 236.
- Nasza Przeszłość. Studia z dziejów Kościoła i kultury katolickiej w Polsce. Red. ks. Alfons Schletz C. M. T. 1. 1944. T. 2—3. 1947. Str. 229, 253, 280.
- O naśladowaniu Chrystusa. Ksiąg cztery. Przekład St. F. Michalskiego. Wyd. 2. przejrz. K. Rutski. Łódź 1947. Str. XXIII, 296.
- O. Jacek Woroniecki O. P.: Królewskie kapłaństwo. Wyd. 3. „Homo Dei”. Wrocław 1947. Str. 158.
- O. Marian Pirożyński redempt.: O. Bernard Łubieński (1844—1933). OO. Redemptoryści. Wrocław 1944. Str. 283.
- Piotr Kropotkin: Pomoc wzajemna jako czynnik rozwoju. Z oryg. ang. przetł. Jan Hempel. Wyd. 2. przejrz. Przedm. nap. dr R. Jabłonowski. Spółdz. Wyd. „Słowo” i Spółdz. Inst. Wyd. Łódź 1946. Str. 232.
- Rekolekcje dla członków Straży Honorowej Najśw. Serca Jezusowego. Arcybractwo Straży Honorowej Najśw. Serca P. Jezusa. Kraków 1947. Str. 98.
- S. M. Magdalena Kujawska Ursz. S. J. K.: Matka Urszula Ledóchowska założycielka Kongregacji SS. Urszulanek Najśw. Serca Jezusa Konającego. 185—1939. Szkic życia i działalności. SS. Urszulanki S. J. K. (Łódź) 1947. Str. 214.

Z zagadnień sumienia

Czy wolno kiedykolwiek zadać (lub przyspieszyć) śmierć osobie nieuleczalnie chorej, bardzo cierpiącej a zwłaszcza o to proszącej?

W okresach powojennych zauważyć można obniżenie ceny życia ludzkiego. Gdy stanem wojny pokrywa się potworne i barbarzyńskie zbrodnie, gdy giną tysiące jednostek zdrowych, często zupełnie niewinnych, wówczas zjawisko pewnego przyzwyczajenia się i otrzaskania z faktami odbierania ludziom życia nie jest rzadkością. A już w niektórych wypadkach, mających pozory słuszności, świadomość ludzkiego sumienia tępieje i umysł traci jasność rozeznania prawdy.

I w rzeczy samej są tacy, którzy myślą, że na przykład w wypadkach niezwyklej okaleczeń śmiertelnych podczas bitwy, bombardowania czy katastrofy sama litość wymaga, by skrócić ich męki, zadając im śmierć. Albo też, gdy są nieuleczalnie chorzy, bardzo cierpiący, czyż nie wypada im pomóc, uwolnić z beznadziejności bólu, zwłaszcza że dzisiejsza medycyna rozporządza równocześnie środkami łagodzącymi? Czy nie można by takim jednostkom zadać lekkiej, łagodnej śmierci, gdy sami o to proszą? A przy tym oszczędza się niepotrzebnych i bezcelowych wydatków rodzinie czy instytucjom społecznym, oszczędza się czasu i pracy obsługi, którą by można obrócić na inne, bardziej produktywnie świadczenia.

Były nawet próby w niektórych krajach (Niemcy), żeby jeśli już nie zabójstwo z litości, to przynajmniej stosowanie łagodnej i lekkiej śmierci, tak zwanej eutanazji było prawnie dopuszczalne i nie traktowane jako przestępstwo; owszem by mogło być użyte przez państwo, w myśl eugeniki nowoczesnej, do usuwania osobników szkodliwych dla rasy.

Odpowiedź nasza ma na uwadze tę szczególnie łagodną formę tych „czynów litości”; powody przytoczone przeciw niej nabierają tym samym większej jeszcze siły wobec innych sposobów zabójstwa, mniej „humanitarnych”!

Już z punktu widzenia czysto naturalnego trzeba odpowiedzieć, że nigdy i nikomu nie przysługuje prawo odbierania życia

drugiemu z racji nieuleczalności i dolegliwości cierpienia, nawet gdyby to miało mieć tylko pozór ulżenia cierpieniom konania.

Największym dobrem społeczeństwa i jednostki jest życie; gdy życie ginie, ustaje wszelkie dobro. Z małą odrobiną życia, nawet tak słabą jak u nieuleczalnie chorych pozostaje zawsze iskra nadziei wyzdrowienia i odzyskania wszystkich dóbr lub przynajmniej ich części. Cała zaś potęga umysłu ludzkiego, wszystkich najgenialniejszych twórców nie zdołała tchnąć życia w materię ani utraconego przywrócić.

Uznana jako etycznie dobra zasada o stosowaniu śmierci łagodnej, zaciążyłaby fatalnie na stosunkach społecznych, a kultura obecna z całą swą genialną techniką cofnęłaby się o całe tysiąclecie. Ponderwałaby całkowicie zaufanie społeczeństwa do lekarzy, których szczytne powołanie ma zawsze na celu ochronę zdrowia i życia ludzkiego a nie osądzanie, czy ktoś już jest na śmierć sposobny czy nie. Szpitale z błogosławionych, dobroczynnych instytucji pomocy i opieki dla nieszczęśliwych chorych stałyby się przedsięwzięciem krematoriów czy trupiarni. Jednostki chore ogarniałby od razu lęk, uzasadnione obawy i niepokój przed fałszywą może — i często *de facto* — niestuszną diagnozą beznadziejności stanu, a zdrowym widmo ciągle istniejących możliwości zachorzeń groziłoby zawsze piętnem czatującej śmierci. Sama zaś ocena nieuleczalności jak często być może i bywa mylna, tak również ulegać może ubocznym wpływom. Zemsta, niechęć, chciwość, nadzieja spadku, egoizm i pieniądze — wszystkie te czynniki mogą sprawić, że człowiek nawet zdrów może być uznany za nieuleczalnie chorego i doprowadzony do tego stanu (są i takie środki!), że sam o śmierć prosić będzie.

Przyznaje się wprawdzie państwu władzę skazywania winnych przez sprawiedliwe sądy nawet na śmierć jako jedyną w danym wypadku skuteczną sankcję przeciw zbrodni dla ochrony dobra całego społeczeństwa. Ale przy nieuleczalnie chorych stosowanie nawet łagodnej śmierci nie ma żadnej podstawy w winie czy zbrodni ani szkodliwości dla społeczeństwa. Wydatki, czas i prace instytucyj wkładane w opiekę nad chorymi wyrównują i przewyższają niewspółmiernie inne wartości, poświęcenia dla państwa, gdy każdy będzie miał pewność i zaufanie, że, narażając się dla ojczyzny na nieuleczalne choroby, okaleczenia, rany i nieużyteczność w czasie wojny czy pracy, nie zostanie bez opieki i jako niepotrzebny nie będzie skazany „litościwie” na zagładę. Zdrowi mają znowu w takich razach sposobność do bezinteresownej, szlachetnej miłości, poświęcenia i ofiarności a studiujący okazję i pobudkę do pogłębiania nauki, do zwiększania wysiłków w kierunku wynalazków i doświadczeń dla dobra ludzkości: chorzy są zdrowiem i bogactwem zdrowych.

Wszystkie powyżej przytoczone racje przeciw zabójstwu z litości i tzw. eutanazji tracą na sile, gdy napięcie bólu i bez-

nadziejność wysiłków pcha chorego ku myśli samobójczej. Wobec nie-
wypowiedzianych nieraz cierpień fizycznych lub psychicznych tracić
się zdają wszelką wartość życia; beznadziejność czynionych prób od-
biera chęć do walki i sens bezskutecznym wysiłkom. Otóż najskutecz-
niejszą pomoc i obronę takim rozbitkom duchowym, żądającym skró-
cenia im i bólu i życia podaje i ma do dyspozycji jedynie religia,
w szczególności chrześcijańska. I jak we wszystkich innych oko-
licznościach życia wskazuje na najwyższe prawo Boga „nie za-
bijaj”, które dla wierzących ma największą siłę, tak w chwilach
depresyj duchowych i cierpień fizycznych nie tylko zakazuje tar-
gnąć się na życie własne czy pomagać w tym komukolwiek, ale
swoimi wskazaniem na życie pozagrobowe, na wartości moralne
i nadprzyrodzone przeżyć duchowych dostarcza najskuteczniej-
szych i najbardziej wzniosłych pobudek do męczeńskich, hero-
icznych czynów cierpliwości, ofiary, poświęcenia — i do prze-
trwania najtragiczniejszych chwil życia. Wśród samobójców zaś
najwięcej jest takich, którym brakło tej wewnętrznej siły i po-
mocy, zawartej w religii¹⁾.

¹⁾ Całość zagadnienia obszernie omawia: Ks. Dr Z. Goliński.
Zabójstwo z litości w świetle etyki katolickiej, Lublin Uniwersytet 1937.
Tithamer Tóth, *Katolicyzm a eugenika*, Poznań 1935.

Ks. Jan Pastuszka T. J.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, i społecznego.

Sprawy Kościoła

Papież Pius XII a wojna i bloki polityczne.

Przed paru miesiącami nastąpiła wymiana listów między prez. Trumanem a papieżem Piusem XII, dotycząca zagadnienia wojny i pokoju w świecie. Prez. Truman nawiązując do wszczętej już wymiany poglądów między nim a Ojcem Sw. zapewnia, iż pragnie uczynić wszystko co leży w jego mocy, aby poprzeć siły moralne walczące o panowanie etyki na świecie. Siły te winny, jego zdaniem, jednoczyć się w celu zachowania trwałego pokoju, gdyż zadania, jakie przed nimi stają, są nad wyraz ciężkie, a dotychczasowe wysiłki przynoszą liczne rozczarowania. Więc jako prezydent Stanów Zjednoczonych ofiaruje Ojcu Sw. swą współpracę w dziele utrwalenia wśród narodów pokoju. Sądzi wreszcie, że największą potrzebą dnia dzisiejszego jest odrodzenie wiary, wiary w godność człowieka i jego prawa oraz w triumf prawdy i sprawiedliwości, tylko one bowiem mogą zabezpieczyć ład i pokój między narodami świata.

W odpowiedzi Pius XII, podnosi z uznaniem te wielkie zamierzenia i podkreśla, że pierwszym warunkiem utrwalenia w świecie pokoju jest zapewnienie mu mocnych podstaw, aby budowli nie wznosić na piasku. Taką podstawę stanowi wiara w jednego Boga, od którego zarówno człowiek jak i społeczność ludzka pochodzi. W myśl Bożych planów społeczność ma na celu zabezpieczyć człowiekowi prawo i warunki rozwoju, a przez to usuwanie przyczyn wojny. Papież jednak wierzy, iż da się osiągnąć utrzymanie pokoju, bo i dziś jeszcze wielu ludzi kocha prawdę i wolność. Ci jednak muszą być konsekwentni: prawdy trzeba bronić i według jej wymagań urządzać życie, zarówno osobiste jak i społeczne. Bez tego zaś trudno marzyć o zwycięstwie idei pokoju wśród narodów. Kościół od swej kolebki nad tym pracuje, bo broni ludzi przed wszelkim uciskiem i wyzyskiem, które wiedą nie-

uchronnie do wojny. I dziś spełnia to zadanie z pełnym poświęceniem, czyniąc wszystko co służy zbawieniu ludzi i umacnianiu na ziemi zdrowego pokoju. Papież podnosi dalej, że społeczeństwo amerykańskie, które okazało skuteczną pomoc ludziom cierpiącym w różnych krajach, do tego pokoju i dobrobytu w świecie dąży. Owszem, dążenia te podziela olbrzymia większość narodów świata, bez względu na istniejące między nimi polityczne podziały. Więc ufamy, kończy Ojciec Sw., iż zwycięży w końcu na ziemi to co dobre i święte.

Streściliśmy te listy, u nas mniej znane. Fakt ich wymiany to zjawisko w sobie dosyć proste. Do Ojca Sw. wolno pisać każdemu, a Ojciec Sw. nie mógł zostawić bez odpowiedzi listu pochodzącego od głowy państwa, zwłaszcza skierowanego dziś w tak doniosłej sprawie. A jednak znane są zarzuty, do jakich niniejsza korespondencja dała okazję. Zarzucono bowiem przy tej sposobności Ojcu Sw. 4 rzeczy: mianowicie, że się opowiada po stronie Anglosasów, że dąży do wojny, że idzie na rękę kapitalistom, podsuwano nawet to, że ciągnie stąd zyski materialne. Warto więc oświecić bliżej powyższe punkty, nie tylko w tym celu aby wykazać ile mieści się prawdy w zarzutach podniesionych przeciwko Ojcu chrześcijaństwa, lecz także aby wyszła na jaw postawa Kościoła wobec zagadnienia wojny i politycznych bloków.

¹⁰ Stosunek Papieża do polityki państw anglosaskich. Najpierw zauważyć należy, że wymiana poglądów między Watykanem a Białym Domem, która tak bardzo niektórych ludzi gorszy, nie rozpoczęła się od dzisiaj, lecz jak zaznacza sam prez. Truman, od grudnia 1939 r. Odbывała się zaś przez okres, podczas którego państwa anglosaskie wspólnie z Rosją Sowiecką prowadziły wojnę z państwami „Osi“. Jeśli tedy *l'Humanité* mówi z tego powodu o „osi“ Watykan—Washington, to musiałaby konsekwentnie dodać — czego na pewno nie uczyni — że oś ta istniała cały czas ostatniej wojny. Następnie wymiana tych orędzi wyszła z inicjatywy prezydenta, nie papieża. Jak z tego widać stosunki między Watykanem a Washingtonem są nader luźne, raczej odbywają się dorywczo, nie mają charakteru ciągłego. Przeciwnie, ludzie bezstronni podnoszą, że politycy państw anglosaskich rozmyślnie zdają się nie dopuszczać Ojca Sw. do wpływu na bieg świata powojennego, co zresztą uważają oni za prognostyk niezbyt dobrze wróżący na przyszłość.

I bez wątpienia brak przedstawiciela Stolicy Sw. w O.N.Z. czy w konferencjach pokojowych bardziej dziś uderza, niż to miało miejsce w Lidze Narodów po tamtej wojnie. A Federacja Kościołów Protestanckich w Ameryce protestowała nawet przeciwko utrzymaniu, czasowego zresztą, przedstawicielstwa Stanów Zjednoczonych przy Watykanie. Żądano również od prez. Trumana, aby, skoro już skierował rzeczony list do papieża,

i podkreślili w swych pismach sami Amerykanie, nie tając bynajmniej tego, iż Ojciec Sw. nie tylko nie kanonizuje ich ustroju, ale jasno wytyka jego niemałe ułedy. I gdzie tu można mówić o tym, że Ojciec Sw. sprzyja czy idzie na rękę kapitalizmowi?

⁴⁰ Zostaje jeszcze zarzut czwarty, głoszący, iż papież w zamian za poparcie okazywane rzekomo kapitalistom czerpie od nich zyski materialne. Przez sam fakt jednak wysunięcia podobnego zarzutu wystawił sobie jego autor świadectwo tak wielkiej lekkomyślności i niepoczytalnej odwagi, iż trudno go doprawdy traktować na serio i poważnie mu odpowiadać.

St. W.

Wobec spraw społecznych.

Przed 10 blisko laty wysunęliśmy przypuszczenie, że ostateczna rozgrywka między obozem chrześcijańskim a przeciwnym, materialistycznym jest nieuchronna i że należy jej się spodziewać nie tyle w dziedzinie ściśle religijnej, ile raczej na polu społecznym¹⁾. Nieśmiała ta „przepowiednia” — która wydawała się wtedy rzeczą mało prawdopodobną a przynajmniej ogromnie oddaloną, jakąś muzyką przyszłości i to taką, która pewnie nigdy zagraną nie będzie — poczęła się w nader szybkim tempie spełniać na naszych niejako oczach i to we wszystkich swoich szczegółach. Istotnie, owa muzyka, rzekomo niezmiernie oddalona, poczęła się tak szybko ku nam przybliżać, iż musiałby być ktoś mocno upośledzony na słuchu, gdyby jej głosów czy echa nie dosłyszał. I tak jak przewidywano, głównym terenem starcia nie jest dziedzina prawdy religijnej, lecz szeroka niwa społecznego życia.

Nie dziedzina ściśle religijna. Jeszcze przed laty zdawało nam się rzeczą jasną, że przeciwnicy Kościoła nie podejmą ani nie przyjmą z nami walki orężem natury religijnej, rozprawy przy pomocy dowodów dogmatycznych czy teologicznych. Pisaliśmy wówczas:

„Okoliczność ta jest wyrazem wysokiego hołdu, jaki wbrew swym intencjom składają prawdzie religijnej jej śmiertelni wrogowie. Tylko nieliczne jednostki mają odwagę uderzyć w religię bronią bezpośrednią, to jest argumentem natury religijnej. Wśród licznych rzesz zdecydowanych wrogów religii i Objawienia nieliczni są Parandowscy, którzy wysilają się, aby postawić bezpośrednio „niebo w płomieniach”.

¹⁾ Patrz artykuł „Plastry na zwichnięty kręgosłup”, *Wiara i Życie*, 1937, str. 97—101.

Obecnie zaś dodać można, że z tej ostatniej grupy część poznając oręż walki religijnej poznała i samą prawdę Objawioną. Przyjęła ją lojalnie i znalazła się — w jednym z nami obozie. Broń zaś czysto religijna i dziś rzadko jest w użyciu. Nawet rozliczne i jednoczące się do walki z Kościołem sekty, rzadziej się do niej uciekają, zadowolając się raczej pociskami natury historycznej i praktycznej czy społecznej. Składają więc i one mimo woli głęboki hołd nauce katolickiej, bo postępowaniem swym stwierdzają, że ataki przypuszczane z tej strony na Kościół nie mogą liczyć na żadne poważniejsze widoki powodzenia.

Rozprawa przeszła zatem na inne tory i potoczyła się głównie na pole ruchów społecznych. Tu się ona obecnie rozgrywa i tu się zapewne jej losy rozstrzygną. I ta sprawa nie nasuwa dziś większych wątpliwości. Świadczą o tym wymownie dyskusje na tematy społeczne i ustrojowe, jakie się toczą w pismach obu walczących obozów. Owszem, dziś już rzecz można, że ogólna rozprawa obracająca się wokół tez założeniowych spełniła swą rolę i wyczerpała się szermierka z nią związana. Obie strony zdają sobie coraz jaśniej sprawę z konieczności przejścia do bardziej szczegółowych i konkretnych punktów swego programu. Czują, że nadchodzi moment, kiedy trzeba bliżej rozwijać, precyzować i pogłębiać poszczególne punkty wysuniętych wpięrw zasad ogólnych.

Można nawet zaryzykować twierdzenie, iż w obliczu rozbudzonej uwagi publiczności zaznacza się pewien kryzys: kto i jak ma powyższe punkty w szczegółach precyzować? W związku z tym daje się zauważyć jakby oglądanie się za pomocą i wzywanie do walki nowych sił. Wzywa się zwłaszcza tych, którzy już podobną bronią dawniej władali. Tych się szuka, prosi, zachęca i prowokuje.

I piszącego te słowa spotkały już nieraz tego rodzaju prośby, sugestie czy życzenia. A prawdziwą, rzecz można, prowokacją do zabrania głosu w toczącej się obecnie rozprawie stało się niedawno wydane dziełko P. Kuźmicza pt. *Katolicy wobec przemian społecznych*, którego recenzję zamieszczamy na innym miejscu w obecnym numerze. Cóż więc? Od pracy, rzecz jasna, uchylać się nie chcemy. Tym mniej, że chodzi tu o sprawę zbyt ważną i doniosłą. Swe skromne siły oddamy chętnie w jej służbę. Jeśli Bóg pozwoli, w najbliższych numerach przejdziemy od razu do

sedna zagadnienia, do bliższego omówienia stosunku człowieka do dóbr ziemskich i prawa własności. Zaznaczyć jednak musimy już na wstępie, że jedyną bronią, jaką się posługiwać będziemy, jest wolna od uprzedzeń myśl (*intelligere*) rozwijająca, punkt po punkcie, katolicką koncepcję społeczną. Bez wdawania się w polemiki, spokojnie i pozytywnie przedstawiać będziemy naukę, która ma w sobie dosyć mocy i piękna, by do nieuprzedzonego czytelnika przemówić. Tak samo, nie myślimy się zajmować sprawami polityki czy techniki realizacyjnej. Pierwsza bowiem nie do nas należy, drugą zostawiamy specjalistom poszczególnych dziedzin, których rzeczą jest rozstrzygać, co, kiedy i jak realizować wypada.

Przystępując zaś do traktowania zagadnień społecznych, nie można tracić z oczu dwóch spraw, które kryzys współczesny najgłębiej dotknął i naruszył: sprawy ustroju społecznego (strona prawna) oraz sprawy samego człowieka (strona moralna). Żaden system, żadna koncepcja czy rewolucja, choćby nie wiem jak krwawa, nie przydadzą się na nic, jeśli tych dwóch podstawowych zagadnień rzetelnie nie rozwiążą. Obie służą za sprawdzian. Bo szary człowiek zawsze spyta, czy przemiana sięga do korzeni zła, czy naprawia ustrój i leczy człowieka?

St. W.

Upraszamy naszych Współpracowników — pisarzy
o takie ujęcie nadsyłanych nam artykułów, aby
nie przekraczały one nigdy 10 stron druku.

REDAKCJA

REDAGUJĄ PISARZE TOWARZYSTWA JEZUSOWEGO

Drukowano na papierze V kl. 70x100 — 70 gr. 5.000 egz.

Spis rzeczy tomu 224

Od Redakcji	3
-----------------------	---

Artykuły

St. Wawryn: Charyzmaty polskiej duszy a zadania prasy	5
J. Rostworowski: Pamięci trzech b. redaktorów Przeglądu	14
Wł. Konopczyński: Sąd historii	21
A. Kisiel: Istnienie Boga w oświeceniu naukowym	31
Wł. Wieher: Chrześcijańska miłość bliźniego i obozy koncentracyjne	42
Wł. Kamiński: Nasze przemiany	48
M. Winowska: Ewangelia Ducha Świętego	57

Przegląd piśmiennictwa

Gryglewicz, Kuźmierz	64
--------------------------------	----

Z zagadnień sumienia

J. Pastuszka: O eutanazji	71
-------------------------------------	----

Sprawozdanie

z ruchu religijnego, moralnego i społecznego

St. W.: Papież Pius XII a wojna i bloki polityczne. Wobec spraw społecznych	74
---	----
